



OD REDAKCJI

Numer szósty poświęcamy głównie wspomnieniom związanym z czterdziestą rocznicą pierwszych wejść na dwa dziewicze wierzchołki (Central i South) Kangchenjungi, wydarzeń mających duże znaczenie nie tylko dla historii polskiego himalaizmu.

W rubryce kulturalnej piszemy o pierwszych przewodnikach wspinaczkowych po skałach Jury Krakowsko-Częstochowskiej oraz o wielkim dziele andyjskim, którego autorem jest Evelio Echevarría.

Niezmiennie zapraszamy do podzielenia się na stronach biuletynu swoimi wspomnieniami. Chętnie zamieścimy również wszelkie uzupełnienia do wcześniej prezentowanych materiałów.

Już zaczynamy myśleć o kolejnym spotkaniu Wegantów w ostatni weekend września (29-30.09.2018). Spotkamy się znów w Skalkach Rzędkowickich i w sobotę w samo południe staniemy do wspólnego zdjęcia.

Wszystkie numery biuletynu WEGA zawsze można „ściągnąć” ze strony www.stapis.com.pl

Małgorzata i Jan Kielkowscy
mjkmountains@aol.com
mjkmountains@googlemail.com

RZECZY WIELKIE I MAŁE W ALPINIZMIE

40 rocznica zdobycia Kangchenjungi (WEGA t. II, str. 360) Central i K. South

W 1978 roku w masywie Kangchenjungi (8586 m), trzeciego pod względem wysokości szczytu Ziemi, w Himalajach Nepalu działała polska wyprawa, którą zorganizował Polski Klub Górski. Przedsięwzięciem kierował Piotr Młotecki, a uczestniczyli w nim: Wojciech Brański, Stanisław Czerwiński, Marek Janas, Wiesław Kłaput, Marek Malatyński, Przemysław Nowacki, Kazimierz Olech, Józef Olszewski, Zbigniew Pawłowski, Andrzej Pietraszek, Marek Rogalski, Jan Serafin, Grzegorz Siekierski, Andrzej Skalski, Andrzej Sobolewski, Zbigniew Staszyszyn, Bernard Uchmański, Szymon Wdowiak i Jerzy Wesołowski – wszyscy z PKG; udział wzięło także trzech członków Klubu Wysokogórskiego: Eugeniusz Chrobak, Zygmunt Andrzej Heinrich i Wojciech Wróż. Alpinistom towarzyszyli oficer łącznikowy Yam Bahadur Siris i czterej tragarze wysokościowi.

Wyprawa bardzo ważna nie tylko dla polskiego alpinizmu. Jej uczestnicy zdobyli dwa wybitne, dziewicze ośmiotysięczne wierzchołki (wtedy najwyższe niezdobyte szczyty Ziemi) w grani szczytowej Kangchenjungi. 19 maja Eugeniusz Chrobak i Wojciech Wróż dokonali pierwszego wejścia na Kangchenjungę Południową (K. South, 8476 m), a 22 maja 1978 Wojciech Brański, Zygmunt Andrzej Heinrich i Kazimierz Waldemar Olech stanęli na dziewiczej Kangchenjundze Środkowej (K. Central, 8482 m). Podczas próby drugiego wejścia na ten wierzchołek Marek Janas i Marek Malatyński osiągnęli wysokość 8420 m.

Sprawozdanie z wyprawy z relacjami (E. Chrobaka i Z. A. Heinricha) z wejść na obydwie wierzchołki zamieszczone zostało w „Taterniku” nr 1 i 3/1979.

Expedycja ta została szczegółowo opisana w książkach: *Dwie Kangczendzongi*, praca zbiorowa pod redakcją Piotra Młoteckiego (Warszawa 1983) i *Święta góra Sikkimu* (Warszawa 1982) W. Wróza. Dwa rozdziały o wyprawie (autorstwa W. Brańskiego: *Góry za nami i góry przed nami* oraz M. Janasa, *Kangczendzonga – ostatni akord*) zostały zamieszczone także w zbiorowym opracowaniu *W górach* (red. W. Brański, Warszawa 2009). Artykuły o wyprawie opublikowano między innymi w rocznikach „Alpine Journal” oraz „Himalayan Journal”.

Dalej zamieszczamy skany niektórych stron z „Taternika” i z książki *Dwie Kangczendzongi*, aby sami uczestnicy przypomnieli nam tamte dni.

Polacy odnosili również inne sukcesy na tej górze: 11.01.1986 Jerzy Kukuczka i Krzysztof Wielicki dokonali pierwszego wejścia zimowego na Kangchenjungę. A wcześniej, w 1984 roku, Tadeusz Karolczak, Wojciech Wróż oraz Leszek Cichy i Przemysław Piasecki weszli południowym filarem na Yalung Kang (zachodni wierzchołek masywu). Kangchenjunga stała się także górą przeznaczenia Andrzeja Czoka w styczniu 1986 i Wandy Rutkiewicz w 1992 roku, podczas próby pierwszego kobiecego wejścia na główny wierzchołek.



Piotr Młotecki



Eugeniusz Chrobak



Wojciech Wróż

Małgorzata Kielkowska

40 rocznica zdobycia Kanchenjungi Central i Kanchenjungi South



Andrzej Heinrich



Kazimierz Olech



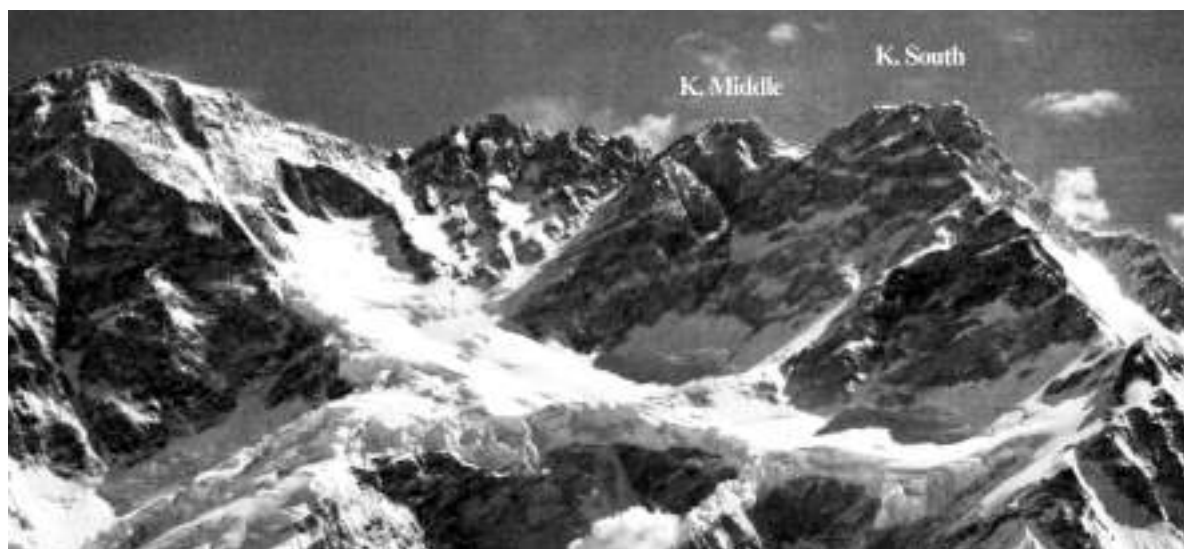
Wojciech Brański



Marek Malatyński



Marek Janas



PIOTR MŁOTECKI

Kangchendzönga 1978

Poszukując dziewiczego ośmiotysięcznego wierzchołka, który miał się stać celem kolejnej naszej wyprawy, planowanej na r. 1978, zwracaliśmy się zawsze ku granii Kangchendzöngi. Była ona najwyższym masywem górskim świata nie w pełni zdobytym, gdyż 7-4 jej przeszło ośmiotysięcznych wierzchołków 2 wciąż pozostawały nie tknięte przez człowieka. One to — Kangchendzönga Południowa (8490 m*) i Środkowa (8496 m*), najwyższe z nie zdobytych wierzchołków Ziemi — stanowiły najatrakcyjniejsze cele eksploracyjne ostatnich lat. Dzięki cechom swej wybitnej indywidualności, szczególnie atrakcyjna była Kangchendzönga Południowa: szczyt zwornikowy, odległy od głównego o przeszło 2 km, posiadający 3 ogromne ściany. Mówi się o niej, że jest prawie samodzielny szczyt ośmiotysięczny.

Grupie Kangchendzöngi poświęciliśmy 2 artykuły monograficzne w naszym sprawozdaniu z wyprawy na Kangbachen (T. 4/74 s. 151). Przypomnijmy tu, że w połowie w. XIX uchodziła ona za najwyższą wyniosłość Ziemi. Jej ogrom, duże wypiętrzenie ponad otaczające doliny oraz położenie w rejonie szczególnie wystawionym na opady monsunowe i wynikię stąd kolosalne zaśnieżenie zboczy, wreszcie trudności techniczne potężnych kopuł szczytowych — czyniły i czynią z niej nadal cel wyjątkowo trudny dla himalajskich wypraw. „Góra ta jednocześnie w swej obronności nie tylko srogię przeciwieństwa wiatru, niepogody i wielkiej wysokości, ale także techniczne trudności wspinaczki i obiektywne niebezpieczeństwa jeszcze wyższej miary, niż napotkane na Everestie” — pisał o Kangchendzöngie John Hunt. Nasz znawca gór najwyższych, Lech Wróblewski, ujmuje ogrom masywu w cyfry:

„Sam trzon tego najpotężniejszego na świecie gniazda górskiego zajmuje ca 110 km² powierzchni i posiada masę o wielkości ponad 100 km³ — potężniejszą niż Everest, dwukrotnie większą niż K2. Gran szczytowa ma około 5 km długości i niądzie się schodzi poniżej 8300 m! Jest to jedyna taka góra, stanowiąca wyjątek nawet dla gigantycznych form Himalajów.”

Najwyższy wierzchołek Kangchendzöngi (8598 m) zdobyty został w r. 1955 przez silną wyprawę brytyjską; drugiego wejścia — inną, ambitną drogą — dokonała w 22 lata później ekspedycja armii indyjskiej (T. 4/78

s. 150). Wiosną 1978 r. stanęła u stóp Kangchendzöngi — jako szesnasta z kolei szturmująca ten masyw ekspedycja — wyprawa himalajska PKG. Naszym celem nie był wierzchołek główny, lecz nigdy dotąd nie stakowany, a trudnościami nie ustępujący głównemu, wierzchołek boczny: Kangchendzönga Południowa (8490 m). Późne otrzymanie zezwolenia (na 4 miesiące przed terminem odjazdu z kraju) i wynikała stąd konieczność improwizowanych uzupełnień sprzętowych, a także brak dostatecznych informacji topograficznych w literaturze górskiej, pomniejszały szansę osiągnięcia sukcesu. Mimo to podjęliśmy ryzyko, zdając sobie sprawę, że jest to pewnie ostatnia szansa zdobycia dla Polski tak wysokiego wierzchołka.

ORGANIZACJA

Organizatorem ekspedycji był Polski Klub Górski w Warszawie. Dysponując znacznym doświadczeniem wyprawowym i równocześnie kredytem zaufania, szczególnie po zdobyciu wiosną 1974 r. dziewiczego Kaagbachena (7002 m), stopniowo przygotowywaliśmy się do kolejnego wielkiego przedsięwzięcia. Władze nepalskie udzieliły nam najpierw zezwolenia na atakowanie Lhotse, którą zgłosiliśmy w aplikacji jako cel rezerwowy. Nadeszło ono niestety późno, gdyż dopiero wiosną 1977 r. Zgromadzenie w tak krótkim czasie środków finansowych i nietypowego ekwipunku, w dodatku w trakcie roku budżetowego, było zadaniem, które nawet znani z optymizmu działacze klubowi uważali za nierealne. W tej trudnej sytuacji organizatorzy postanowili zwrócić się o pomoc i poparcie do Władysława Kruczka i Józefa Tejchmy — patronów poprzedniej zdobywczej wyprawy, a także do władz resortowych kultury fizycznej i kierownictwa Wydziału Organizacji Społecznych Sportu i Turystyki KC PZPR, wreszcie do patronującego klubowi Zw. Zawodowego Pracowników Przemysłu Spożywczego i Cukrowniczego. Ku naszej radości prawie wszyscy zapewniali nas, że możemy liczyć na niezbędną pomoc.

Pierwsze przekazy pieniężne — po rozmowie z działaczami związkowymi, Zdzisławem Warchałowskim i Wiesławem Nowostalskim — otrzymaliśmy z ZEPSSiC i CRZZ, następnie — z GKKEPiT, po rozmowach z jego kierownictwem, reprezentowanym przez Adama Izydorczyka i Bogusława Rybę. Znaczącej pomocy udzieliły nam banki PKO w Paryżu i Nowym Jorku, dużą zyczliwość okazali ministrowie Marian Krzak i Tadeusz Rudolf oraz wicepremier Jan Sztybel. Z pomocą przyjęły również różne przedsiębiorstwa, m.in. PLO i LOT. Fabryka Samochodów w Starachowicach wypożyczyła wyprawie samochód „Star”, zaś przyczepę do niego — Sanocka Fabryka Autobusów.

* O wysokościach obu wierzchołków zob. artykuł L. Cichego i Z. Kowalewskiego w T. 3/78 s. 118. Zwrócić też trzeba uwagę na pewną nieścisłość przyjętej ostatnio nazwy „Kangchendzönga Środkowa (Centralna)”. Środkowym punktem masywu jest grzebień — oronometrycznie i w bezbie wierzchołków — szczyt główny (8598 m). Sprawa ta będzie wymagała w przyszłości uregulowania. (Redakcja)

Same środki finansowe nie wystarczały. Należało jeszcze zgromadzić sprzęt i żywność oraz rozwiązać szereg trudnych problemów, m.in. w odległym Nepalu. Na szczęście dzięki życzliwości Andrzeja Wawrzyniaka, energicznego szefa polskiej placówki dyplomatycznej w Katmandu — niezbędne formalności z władzami nepalskimi zostały załatwione we właściwym czasie. Aby wyprawa mogła wyruszyć z kraju, jej uczestnicy musieli wykonać gigantyczną pracę. Ale przy świątecznej choince w magazynie wyprawowym, gdzie pracowaliśmy również podczas świąt, mogliśmy wreszcie powiedzieć sobie, iż nasze przedsięwzięcie stało się rzeczywistością.

Kierownictwo wyprawy powierzono Piotrowi Młoteckiemu, posiadającemu duże doświadczenie w zakresie prowadzenia ekspedycji. Jego zastępcą (do spraw sportowych) był Kazimierz W. Olech, również bardzo doświadczony w zakresie zdobywania najwyższych szczytów. Funkcję drugiego zastępcy (do spraw organizacyjnych) sprawował Jerzy Wesołowski, równocześnie skarbnik wyprawy i kierownik bazy. Do jego obowiązków należało m.in. utrzymywanie łączności i koordynowanie ruchu zespołów wspinaczkowych. Ekipę tworzyli: Wojciech Brański (sprzęt łącznościowy), Eugeniusz Chrobak, Stanisław Czerwiński, Zygmunt A. Heinrich, Marek Janas, Wiesław Kluput (żywność), Marek Malatyński (sekretarz), Przemysław Nowacki (karawana), Józef Olszewski, Zbigniew Pawłowski, Andrzej Pietraszek (lekarz), Marek Rogalski, Jan Serafin (drugi lekarz), Grzegorz Siekierski (sprzęt kuchenny), Andrzej Skalski (tłumacz), Andrzej Sobolewski (sprzęt i ekwipunek), Zbigniew Staszyszyn (fotoreporter), Bernard Uchmański (pomocnik realizatora filmowego), Szymon Wdowiak (realizator filmowy), Wojciech Wróż oraz dwaj Amerykanie z Alaski, James A. Brady i Stanley C. Tobin. Kierowcami STARA byli Andrzej Lapiński i Stanisław Kocot. W wyprawie uczestniczyło 14 Nepalczyków: oficer łącznikowy Yam Bahadur Siris, sirdar Ha Tashi, Sierpowie — Sona Gyau, Lakpa Gyalu, Mingma Gyaljen, Sonam Sherpa i Lakpa Ts'erling, wreszcie 2 kuchcików, 2 gońców i 3 etatowych tragarzy.

KARAWANA I POCZĄTEK DZIAŁAŃ

Z Dharan Bazar, gdzie kończą się drogi kołowe, wyruszyliśmy 14 marca. W karawanie szło 350 ludzi, w tym przeszło 300 kulisów. Dla zrozumienia sytuacji, w jakiej wyprawa rozpoczęła działalność górska, należy wyjaśnić, iż w dniu 29 marca, podczas marszu karawany, nieoczekiwanie nastąpił powrót zimy. Zamiecie śnieżne spowodowały, że szeregi lecho odzianych, bosonogich tragarzy zaczęły topnieć z godziny na godzinę. Oferując zwiększone wynagrodzenie i wydając buty, skarpetki, rękawiczki i okulary ochronne, zdołaliśmy zatrzymać jedynie nieznaną



Południowo-zachodnie stoki Kangchendzongi z drogami i obozami wyprawy PKG 1978. Wierchołki: G — główny, S — środkowy, P — południowy. Nad obozem IV (polskim) — trasa próby ataku filarem. Baza oznaczona białym trójkątkiem. Z prawej filar Kangchendzongi Południowej — piękny problem sportowy dla następnych wypraw. Zdjęcie lotnicze, reprodukcowane z „Berge der Welt” 1986—87.

część ludzi: na końcowych etapach zostało z nami zaledwie 35 najdzielniejszych. Mimo naszych rozpaczliwych wysiłków, m.in. przykładnej pracy tragarzkiej całej ekipy, transport bagażu niepokojąco wydłużał się i zamiast przewidywanych 20, trwał pełne 44 dni.

Chcąc nadrobić opóźnienie, postanowiliśmy przystąpić do szturmowania góry „z marszu”. Z bazy przerzutowej w Tseram w dniu 7 kwietnia wyruszył w górę zespół rekonesansowy w składzie Chrobak, Heinrich, Sherpa Lakpa, Olech (kierownik), Olszewski, Sobolewski i Wróż. Otrzymał on 3 zadania: 1) rozpoznać teren i ustalić, jaką

drogą powinien pójść atak (filarem od dołu czy przez lodospad); 2) wybrać miejsce na bazę główną i wytyczyć dojście; 3) rozpocząć szturmowanie góry. Równocześnie zespoły pozostałych uczestników wyruszyły w kierunku podnóża szczytu z ładunkami zawierającymi wyposażenie niezbędne do rozpoczęcia akcji. Przy kulisach noszących wadliwie bagaż do kolejnych baz przerzutowych (w Ramzer i na środku lodowca); a następnie do bazy głównej, pozostała jedynie część alpinistów, przede wszystkim chorych i tych, którzy byli nieodpowiedni do funkcjonowania karawany.

Baza główna wyprawy została założona na morenie środkowej lodowca Yalung, na wysokości 5200 m. Do tego miejsca część uczestników dotarła 10 kwietnia, a do miejsca, gdzie znajduje się grób Pache'a (5500 m) — w dniu następnym. Pierwszy namiot bazy ustawiono 19 kwietnia. (Uprzednio, z uwagi na zamiar szturmowania filaru, zespół rekonesansowy miał namioty pod Talungiem.) Zagospodarowanie bazy trwało do 30 kwietnia, tj. do dnia, w którym kulisi wynieśli ostatnią partię naszych ładunków. W wyniku tych akcji obóz I (6200 m) stanął 18 kwietnia — o 3 dni wcześniej, niż pierwszy namiot bazy głównej, a na 2 tygodnie przed zakończeniem transportu karawanowego bagażu wyprawy.

Obóz II założono w dniu 24 kwietnia — na wysokości 6600 m. Trasa do niego przechodziła przez charakterystyczny kocioł — z obniżeniem o ok. 150 m i koniecznością 120-metrowego zjazdu. III obóz (7150 m) stanął między 27 kwietnia a 3 maja nieco poniżej Wielkiego Tarasu. Do tego miejsca alpinści dotarli w dniu 27 kwietnia i po rozbiciu namiotu zeszli do bazy. Dwa innymi zespołom, które pracowały na tym odcinku, przypadło w udziale zaopatrzenie obozu III oraz oznaczenie drogi trasami i ubezpieczenie jej poręczówkami. Prace te zakończono 3 maja. W stosunku do trasy angielskiej, na odcinku do obozu III w zasadzie znaczniejszych odchyień nie było, co zresztą trudno ściśle określić, gdyż od r. 1955 konfiguracja terenu lodowego uległa pewnym zmianom.

W dniu 8 maja na wysokości ok. 7600 m założony został obóz IV. Droga na linii szturmowej Kangchendzöngi Południowej, od bazy do wysokości 8100 m, została ubezpieczona linami poręczowymi o łącznej długości prawie 4 km. Droga z Wielkiego Tarasu w stronę Kangchendzöngi Środkowej w zasadzie nie była ubezpieczona.

OKRES ATAKÓW SZCZYTOWYCH

W dniu 18 maja 1978 r. miała miejsce zaawansowana próba zdobycia Kangchendzöngi Środkowej przez wyprawę hiszpańską z Barcelony. Jak to widzieliśmy z obserwacji własnych (z bazy przez lunetę i z obozów przez lornetki) i jak podali nam Hiszpanie po powrocie do bazy, Narcisowi Serratorowi i Szerpie Phori do sukcesu zabrakło

ok. 100 m w pionie i ok. 300 m w poziomie. Oceniamy, że osiągnięta została wysokość nie większa, niż 8400 m.

19 maja 1978 r. Eugeniusz Chrobak i Wojciech Wróż dokonali pierwszego wejścia na dziewiczą Kangchendzöngę Południową (8490 m). Droga w ścianie wiodła cały czas w znacznej ekspozycji, przy trudnościach technicznych co najmniej III—IV stopnia według skali alpejskiej. Ściana od obozu IV (7600 m) ma ok. 900 m. Szturmujący wyszli z obozu o godz. 6, na szczycie stanęli o 14.15 i przebywali tam przez pół godziny. W drodze powrotnej zaskoczyła ich burza śnieżna.

23 maja 1978 r. Wojciech Brański, Zygmunt Andrzej Heinrich i Kazimierz Olech zdobyli również dziewiczy wierzchołek Kangchendzöngi Środkowej (8496 m). Trasa cały czas wiodła w znacznej ekspozycji. Od wyjścia ze śnieżnego kuluaru w skały występowały trudności techniczne w stopniu minimum II—III według skali alpejskiej. Szturmujący z obozu IV (7500 m) wyszli o godzinie 6, o 11 byli przy skalnym spiętrzeniu kuluaru, skąd skierowali się w prawo formacjami śnieżno-skalnymi, ze znacznymi progami skalnymi, by o godzinie 14.15 osiągnąć wierzchołek. Pobyt na szczycie trwał 15 minut.

25 maja 1978 r. Marek Janas i Marek Malatyński podjęli próbę drugiego wejścia na Kangchendzöngę Środkową. Osiągnęli oni jedną z podszczytowych kulminacji (ok. 8420 m).

Poszczególne ataki omówione są w artykułach Chrobaka, Heinricha i Malatyńskiego.

KIEROWANIE AKCJAMI GÓRSKIMI

Na wyprawie była stosowana zasada elastycznego sterowania inicjatywami uczestników i zespołów, którą zresztą wypracowano na poprzednich wyprawach PKG. Pospłech w działaniu zespołów wspinańcowych, konieczny z uwagi na przedłużanie się transportu karawanowego, sprawił, iż w bazie na ogół rzadko przebywała znaczniejsza grupa alpinistów. Zatem odpraw bądź porad ogólnych nie organizowano, a kierownik poznawał opinie uczestników poprzez rozmowy indywidualne. W sprawach nagłych wydawał on decyzje bez zasięgnięcia opinii członków ekipy — opierając się na własnej ocenie i swoim doświadczeniu. Tak np. w dniu 16 maja baza otrzymała wiadomość, że Józef Olszewski ze względu na przemęczenie i senność zostanie w obozie III, podczas gdy jego towarzysze wyjadą do obozu IV. Informację tę kierownik ocenił inaczej, niż koleśdy w górze — usnął, że jest to początek choroby wysokościowej i z miejsca zarządził akcję ratunkową. Przybyły lekarz potwierdził diagnozę.

Opinia uczestników, kierownik nie przyjmował bezkrytycznie, stąd jego decyzje nie zawsze pokrywały się z otrzymywanymi sugestiami. Przykłady: wyrażono zdanie, że Olecha należy wyłaczyć z zespołu szturmowego, gdyż rękoma jest za słaby i za wolny. W przeddzień ataku na Kangchendzöngę Środkową twierdzono, iż wypowiana trójka nie ma żadnych szans, ponieważ wierzchołek środkowy jest zbyt trudny, czego dowodem jest salomanie się szturmowi hiszpańskiego. Wyprawa nie powinna więc podejmować tej zbyt ryzykownej próby. W oparciu o dobrą znajomość członków ekipy i własne doświadczenie, kierownik ocenił te opinie za bezzasadne i dopuścił zarówno Olecha, jak i cały zespół do szturmów, aczkolwiek w tym kontekście decyzja wymagała odważ-

Interesująca, że na wyprawie nie zanotowano wyraźnych kolizji inercyjnych. Jeżeli także rysowały się — na przykład wysuwana była propozycja rozpoczęcia akcji przygotowawczej na linii Kangchendzongi Środkowej, równoległej ze szturmem wierzchołka południowego — to kierownik usłyszał je bez uciekania się do zakazów kategorycznych. Większość członków ekipy sama rozumiała zresztą, iż sprawa uzyskania głównego sukcesu wymaga koncentracji wszystkich sił i jest ważniejsza od ambicji osobistych.

Wyprawa nasza, aczkolwiek wyjątkowo udana, ma też w swojej kronice kilka potknięć, popełnionych zarówno przez kierownictwo, jak i uczestników.

Za błąd kierownika uznać należy fakt wyrażenia zgody na próbę szturmu Kangchendzongi Południowej w dniu 18 maja, w oparciu o zbyt optymistyczne informacje kolegów, którzy jak się później okazało, byli w stanie euforii. Ogłoszenie tego błędu uchronił wyprawę Andrzej Heinrich, który dzięki posiadaniu doświadczenia ocenił, że zespoły szturmujące i wspierające są zbyt wyczerpane, aby atak miał się udać. W tym przeświadczeniu wycofał się z wspierania szturmujących. W zaskakującej sytuacji Chrobak i Wróć z zamierzonego ataku zrezygnowali. Potwierdzeniem trafności oceny dokonanej przez Heinricha był fakt, iż wymieniona dwójka po zejściu do bazy z radą kierownika, regenerowała swe siły przed rozstrzygającym atakiem przez pełne cztery dni. Nadto w wyniku obserwacji szczytu przez przyrządy optyczne zespół ten zarzucił zamiar szturmu góry przez zbyt ryzykowny filar (jak pierwotnie zamierzano), decydując się na atak wprost szczytu.

Inny błąd popełniony został podczas działalności rekonesansowej. Kazimierz W. Olech kierując 7-osobową grupą rekonesansową wprowadził za radą kolegów zasadę, że każdy z uczestników wnieść musi — niezależnie od indywidualnego ciężaru — 15 kg wyposażenia ogólnego. Po dojściu bliznowy do bazy i zorientowaniu się, że na wyprawie stosowana jest ta sprzeczna z indywidualnym cyklem aklimatyzacyjnym niektórych członków praktyka — zasadę tę decyzją kierownika odwołano. Nastąpiły dwa uczestnicy rekonesansu zdohłali już nadwyrężyć swoją formę, przy czym Sobolewski (znany z tego, iż zawsze wspo-

nał się świetnie, nie z małym obciążeniem) tak fatalnie, że do końca wyprawy zdolny był do pracy jedynie do wysokości 6000 m.

OCENA WYPRAWY

Uważamy, że na wielki sukces naszej wyprawy złożyła się praca całej ekipy. Poza piątką uczestników, którym dane było zatknąć proporce na dziewięciu wierzchołkach, w akcjach szturmowych wyróżnili się szczególnie koledzy Rogalski, Serafin, Olszewski, Janas, Malatyński, Klaput, Nowacki, Uchmański, Pietraszek i Amerykanin Brady, z Szerpów zaś — Lakpa, Mingma i Sonam. Sukcesy nie byłyby możliwe bez odpowiedniego przygotowania i wyposażenia wyprawy, które zawdzięczamy pracy organizacyjnej całej ekipy, a także osób spoza jej składu, jak kol. kol. Włodzimierz Wojnowski, Teresa Garnysz-Koźłowska, Ewa Wieczorkowska i inni. Na szczególne podziękowanie zasłużyli Andrzej Sobolewski, który prowadził najtrudniejszy odcinek przygotowań (sprzęt), i Andrzej Pietraszek, m.in. za zdobycie dla wyprawy unikalnej i sprawnej aparatury tlenowej. Decydująca konstruktywna rola w przygotowaniach i podczas wyprawy kierownika i jego zastępcy do spraw organizacyjnych jest tak oczywista i wszystkim znana, że z omawiania jej rezygnujemy.

Przy opracowaniu oceny korzystaliśmy z uwag uczestników, o które zwracaliśmy się na piśmie. Oto jedna z wypowiedzi — Andrzeja Heinricha — w obszernych fragmentach:

Po dekoracji medalami sportowymi (T. 3/76 s. 117) — od lewej: Wojciech Brański, przewodniczący GKKPIS, Marian Benke, Eugeniusz Chrobak, Władysław Kruczek, Piotr Miolecki, Kazimierz W. Olech i Wojciech Wróć (Zygmunt A. Heinrich, który wrócił samochodem, otrzymał medal później).

Fot. Damiary Kutalikowski (CAF)



Moim zdaniem o sukcesie wyprawy zdecydowały następujące momenty:

1. Sprawne i prowadzone z dużą intencją kierowanie tak licznym zespołem, pomimo piętrzących się trudności (zwiększenia podłoża ostatniego etapu Karasong).

2. Decyzja kierownictwa wysłania grupy rekonesansowej, która miała za zadanie nie tylko rozpoznać płaszczyznę południowego wierzchołka i wybrać drogę ataku, ale również rozpoznać akcję powyżej bazy.

3. Trafny wybór drogi; ze względu na duże zagrożenie lawinami seroków z kofia Talang, rozpoznanie i wejście filarem i przeniesienie akcji na drogę tradycyjną.

4. Ofiarna praca uczestników przy przeniesieniu ładunków na trasie Ramzer — baza główna, pomimo że każdy chciał jak najwcześniej rozpruć działalność górską.

5. Wykorzystanie do maksimum iniekcyjnej uczestników akcji górskiej przy rozwarciu linii obozów i przy ataku szczytowym.

6. Akceptowanie przez kierownictwo śmiałości decyzji zostawienia południowego wierzchołka wprost śniegu z obozu IV i — pomimo już odniesionego sukcesu — decyzja o ataku na szczyt środkowy.

7. Z pełnym zaangażowaniem pełnioną przez Jerzego Weskowskiego funkcję kierownika bazy oraz pomoc Andrzeja Skalskiego; prowadzona z dużym oddaniem praca obu lekarzy, którzy również ambitnie uczestniczyli w akcjach górskich.

O sukcesie wyprawy jako całości zdecydowało duże doświadczenie kierownictwa PKG, które pozwoliło starannie przygotować wyprawę i wykorzystać wnioski z poprzednich wypraw szczytowych, a przez dookreślenie i uczestników z PZA — także doświadczenia z wypraw na Lhotse i K2. Jako partner Walicki Olecha chciałbym szczególnie podkreślić jego ofiarność podczas całej akcji i ogromną ambicję w dążeniu do wejścia na szczyt.

ZYGMUNT A. HEINRICH

Wyprawa nasza jest jedyną w historii himalaizmu ekspedycją, która zdobyła 2 dziewicze wierzchołki osiem i półtygodniowe. Ustanowiła ona na 5 miesięcy — do wejścia Wandy Rutkiewicz na Mount Everest — no-

wy polski rekord wysokości. W klasie wierzchołków dziewiczych jest to rekord ostateczny — nie tylko dla Polski, ale i wszystkich krajów demokracji ludowej. Po naszym sukcesie, alpinizm polski uplasował się na drugim miejscu w świecie pod względem liczby zdobytych najwyższych punktów ziemi (szczegółowo zob. „Biuletyn Informacyjny PZA” nr 3/1978). Fakt, że aż 7 uczestników wyprawy przekroczyło wysokość 8 400 m świadczy dobitnie, iż wyprawa PKG dysponowała skutecznie działającą siłą uderzeniową.

Miarą uznania były liczne depesze, jakie napłynęły do PKG i PZA, a także na ręce kierownika wyprawy. Bawiąc przejazdem w Now Delhi został on m.in. z okazji sukcesu przedstawiony Ministrowi Obrony Indii, który przekazał dla całego zespołu osobiste gratulacje. Uznanie i podziękowanie wyraził ekipie podczas uroczystego powitania (T. 3/78 s. 117) przedstawiciele władz centralnych — Władysław Kruczek i Jerzy Miśkiewicz oraz kierownictwo GKFFIS w osobach Mariana Benkogo i Adama Izdyczczyka.

Te bezpośrednie oceny, a także informacje prasowe o sukcesie, zamieszczone w prasie wielu krajów, pozwalały nam wierzyć, iż dobrze reprezentowaliśmy Polskę i przyczyniliśmy się do rozświecenia imienia naszego kraju w świecie. W księdze górskich czynów Polaków obok nazw Nanda Devi Wschodnia, Kunyang Chhish, Kangbachen, Shispare, Falchan Kangri Środkowy i Gasherbrum III przybyły dwie nowe: Kangchendzönga Południowa i Kangchendzönga Środkowa. Te dwie nazwy umieszczone są w wykazie najwyższych wierzchołków Ziemi na jakże wysokiej — 5 i 6 pozycji!

Kangchendzönga Południowa

EUGENIUSZ CHROBAK

8 maja 1978; godzina 7.30. Z namiotu obozu IV, bokiem zwisającego poza krawędź lodu, wychodzimy po kolei. Wyrta w śniegu półka z trudem mieści dwoje ludzi, stojących przed wejściem. Heinrich i Lakpa wiążą raki. Słychać ich krótki oddech. Z kulbaru nad nami w regularnych odstępach czasu wysypują się pyłowe lawinki, odbijając namioty i ludzi. Zwlekam z wyjściem z namiotu. Andrzej Heinrich rusza pierwszy. Związany liną, przewija się za skalny próg. Zapada się w śnieg powyżej kolan. Czas na mnie. Wylażę z rękawa namiotu, wspierając się na zimnych metalowych butlach. Na zmarznięte ręce wkładam grube rękawice. Zarzucam plecak. Zgarniam

linę i udaję się za Andrzejem. Za mną idzie Lakpa. Na nosikach ma dwa stalowe cylindry — tlenowe wyposażenie obozu V. Lakpa Ts'ering, to najlepszy Szerpa naszego zespołu. Zawsze chodziliśmy w trójkę razem z Wojtkiem Wróblem. Tylko dzisiaj Wojtek pozostał w obozie III.

Szeroki żleb przed nami, zwięża się w górze i niknie zamknięty skalami. Po kilkudziesięciu metrach kopnego śniegu nastomienie roślin, wylazi lód. Zaczynamy rozwiązać liny poręczowe. Andrzej Heinrich wbija hak, Lakpa asekuruje. Spieszę się, nie wiadomo przecież, jakie czekają nas trudności. Właściw paskiem lodu, wciągnę pomiędzy skały, zbliżam się do spiętrzenia. Do ostatniej chwili nie widzę możliwości jego przejścia. Dopiero za kolejnym załosem niespodziewanie otwiera się wgląd w uciekający w prawo zachód. Błyszczą pasmami zielonkawego lodu, mocno nachylny ku przepaści.

Lakpa przynosi kolejną linę poręczową. Trudno się z nim dogadać, pomagam sobie gestykulacją. Andrzej daleko w dole, walczy z poplątaną 120-metrową liną. Sklarowaną posła do mnie, jako ostatnią poręcz-

czówkę. Na stanowiskach niemiłosiernie marzną. Podmuchy wiatru wciskają śnieg przez materiał spodni — na nic wszelkie kombinacje z podwijaniem skafandra. Za każdym razem ruszam całkowicie zeszywniały. Rozgrzewam się, rąbiąc stopnie na kolejnych pasmach lodu. Pokonując próg zamykający zachód, wchodzę na rozciągające się baluchowate płaszczyzny pół wschodniej ściany. Wiatr uderza z taką siłą, że trudno utrzymać równowagę. Twardy, miejscami wywiany śnieg utrudnia wysokimi fałdami każdy krok. Szarpie oporną linę, 120-metrowy wąż sunie po śniegu, czepląc się skał. Kulę się, szukam oddechu. Wyśitek tu już nie rozgrzewa, a skafander z wściekłym furkotem wypełnia się mroźnym powietrzem. Udaje mi się znaleźć dwa bloki, wchodzę pomiędzy ich gładkie ściany. Z ustami tuż przy skale próbuję wyrównać oddech. Chwilami wychylam się i patrzę w górę ku wierzchołkowi: ze sto metrów wyżej widać labirynt turni, ścian, głębokich kominów. Zamrożoną twarz cofam na powrót za kamień.

Wreszcie jest Lakpa. Z nositek zrzuci butle tlenowe i szybko rozpoczyna powrót, czepiając się poręczówki. Ruszam za nim. Niżej dołącza do nas Andrzej Heinrich. Uciekamy, byle szybciej znaleźć się w namiocie. Tu wyraźniej chyba niż gdziekolwiek indziej czuje się 8000 metrów.

W obozie IV zastajemy Wróża i Serafina. Przed chwilą dotarli tu ze sprzętem i namiotem potrzebnym do założenia obozu V. Lakpa prosi o zgodę na zejście. Po chwili wahania pozwalamy mu na samotny powrót do „trójki”. Droga jest bezpieczna, prawie cała wyporęczowana. Ładujemy się w czwórkę do dwuosobowego namiotu. Wciągamy ośnieżone plecaki i dwie butle tlenowe. To tlen na poręczówkach, żeby założyć obóz V. Poniesiemy każdy po 25 kg. Z Wróżem mamy pozostać na górze i próbować wejścia na szczyt. Heinrich i Serafin nocować będą w czwórce. Jak dalej rozwinie się akcja — nie wiadomo. Tymczasem w ciasnocie namiotu trudno mówić o odpoczynku. Mimo tlenu noc jest ciężka. Ciągłe wieje silny wiatr.

9 maja. Jak zwykle, rano Wojtek Wróż zaczyna gotować. Reszta leży ciasno słończona, słychać ciężkie oddechy. Butle tlenowe są już dawno puste. Ścianki namiotu, przysnieżone śniegiem, pokrywa od środka grubą warstwą szron. Rozmowy nie kleją się. Panuje ponura atmosfera.

A jednak nie pójdziemy do piątki! Nie będzie ataku, może nawet to koniec wyprawy. Andrzej Heinrich rozpoczął zejście w kierunku obozu III. Jest już 20 metrów poniżej namiotu, poręczówka ciągle napięta pod jego ciężarem. Mijają sekundy, minuty. Cały plan, realizowany z takim trudem, wali się w krótkiej chwili. Schodzimy kompletnie załamani. Jeszcze tego samego dnia wracamy obaj z Wróżem do bazy.

14 maja, godzina 17. Droga z bazy do bazy wysuniętej jest monotonna. Na dodatek cel naszych westchnień — wznosząca się ponad taras i ponad obóz IV, tysięczmetrową ścianą — zasłoniły chmury. Jak zwykle o tej porze, będzie padał śnieg. Kilka godzin temu oglądaliśmy każdy fragment skalny, każdy płat śniegu w pełnym słońcu. Teraz wiemy, że filarem powyżej 8000 metrów, tam gdzie leżą pozostawione 2 butle tlenowe, atak nie może się udać. Po pierwsze, wariant ten wymagałby założenia obozu V, po drugie, trudności powyżej 8 tysięcy trzeba by pokonywać w skrajnie trudnej wspinaczce, po trzecie, najlepsi ludzie zespołu wyjadą o dzień później, więc nie moglibyśmy liczyć na ich wsparcie przy zakładaniu obozu V, po czwarte, zespoły działające w górze nadal nie dochodzą do obozu IV, pozostawiając tlen i sprzęt na poręczówkach.

Od rana jestem podniecony zmianą planu. Sądzę, że Wojtek Wróż również. Przed oczami mam ciągle nową drogę, z jej 4 miejscami kluczowymi, które na szkiecie Wojtka zaznaczone są znakami zapytania: „Wielka Turnia”, „Rysa”, „Bariera”, skały podszczytowe. Nie martwi mnie nawet zmarnowane wyjście na 8 tysięcy metrów, stracone poręczówki i tlen. Atak przez ścianę musi być poprowadzony bez założenia obozu V. Zrealizowanie planu wydaje się na pozór nierealne. Nie wiem, co myślą o nim w bazie. Dla nas jest to ostatnia szansa.

Dochodzimy do jedynego namiotu bazy wysuniętej, nadającego się jako tako do zamieszkania. Jest szaro, śnieg pada dużymi płatami.

15 maja. Jak zwykle rano, wschodnia strona góry jest już w słońcu. Częściowo oświetlone są zbocza ramienia, obrywające się spod obozu I. Korzystamy jeszcze z chłodu i równomiernie, prawie bez odpoczynku, podchodzimy do poręczówek. Wyżej tempo maleje, ale i słońce ostrzej przygrzewa. W obozie pierwszym stajemy około dziesiątej. Podają nam herbatę, ktoś wysuwa z namiotu menażkę zupy z parówkami. Dowiadujemy się, że Ts'ering Mingma, krewniak naszego Lakpy, dochodzi teraz do obozu II. Jeżeli i my dotrzemy tam dzisiaj, jest szansa, że Mingma pójdzie z nami wyżej. Bardzo potrzebujemy czwartego do naszego zespołu. Założyliśmy, że działalność powyżej obozu III oprzemy na Szerpach. A więc obóz II tego samego dnia. Czasu mamy dużo, jest południe. Porządkujemy zawartość plecaków, dopinamy pasy, wkładamy kaski i ruszamy dalej. Zjazd z „Ramienia” nie przysparza, jak zwykle, kłopotów. Dalej widać drogę jak na dłoni: klucz między szczelinami płaskiego lodowca, przewija się między serakami i pnąc się w górę przez lodowe progi — wprost do obozu II. Ostatnia poręczówka nikt nie w śniegu, dosłownie pod podłogą namiotu. Wita nas serdecznie Mingma, pełniący rolę gospodarza. Pozostali Szerpowie wracają do obozu I, on zaś pójdzie z nami.

16 maja, godzina 14. Do trójki dochodzimy zawsze z trudem: ostatni odcinek jest prawie płaski, każdy wlecze się swoim tempem, wylażni znój po przejściu 1000 metrów poręczówek. Tym razem dodatkowo zmęczył nas upał panujący we wklęsłościach seraków, wczorajszy maraton do dwójki i wysokość 7 tysięcy metrów. Na pewno jestem bardziej znużony niż wtedy, kiedy zakładałem ten obóz z Wróżem i Lakpą.

17 maja, godzina 17. Przed nami do obozu IV dociera po raz pierwszy grupa zbierająca sprzęt pozostawiony na poręczówkach. Najważniejsze są tlen i 1500 metrów liny poręczowej. W czwórce więc znajduje się wszystko to, co wypchnęli z bazy Wesolowski i Skalski, realizując skrupulatnie przygotowany przez nas plan transportu. Zbliża się wieczór, więc w czwórce ostro zabieramy się do rąbania platformy. Po dwu godzinach ciężkiej pracy staje drugi namiot, nie mieszczący się zresztą całkowicie na platformie, podobnie jak poprzedni. Ale dwa namioty na czwórce to komfort. Już prawie po ciemku, marzącymi rękami sprawdzam z Wojtkiem ciśnienie w butlach. Nauczeni doświadczeniem z K2, dbamy o to, żeby wybrać butle z najwyższym ciśnieniem. Jutro poniosą je Szerpowie.

18 maja, godzina 6. Wychodzimy z namiotu. W niższym Lakpa i Mingma jeszcze śpią. Mają wyruszyć za 3 godziny, boimy się jednak, że zaśpią, że rozboleją ich głowy, że po prostu zrezygnują z wyjścia. Zabieramy ze sobą tylko liny poręczowe, haki i cały sprzęt potrzebny do wspinania. Plecaki, w porównaniu z wczorajszymi, są lekkie. Ruszamy. Jak zwykle o tej porze, wiatr zrzuca wczorajszy opad śniegu.

Do początku poręczówek docieramy po godzinie. Pozostawiając w dole początek zachodu i liny biegnące w prawo na filar, wchodzimy w stromy żleb za „Wielką Turnią”. Śnieg jest bardzo twarde, ale w miarę, jak rośnie nachylenie, zmienia się w cukier. Rękami dotykam skały, przebijając warstwę śniegu. „W ciemno” szukam oparcia dla przednich zębów raków. Obsuwają się, zgrzytając o skałę. Pewności dodaje mi dopiero wbity hak. Zwiężające się gardło żlebu-rynni wyprowadza na podcięty taras. Szabla śnieżna wchodzi po ucho. Wiążę poręczówkę. Cieszę się, jak zwykle, z dobrze zrobionego wyciągu. Można zapomnieć, że jest się na ośmiotysięczniku. Wolam do Wojtki, czy widać Szerpów. Ciągłe nerwowo oczekujemy ich pojawienia się. Trawersując pole firnowe podchodzimy pod następne spiętrzenie. Rozpięram się w kominiku czyszcząc stopnie i chwytę z lodu. Wojtek Wróż tymczasem zakłada stanowisko asekuracyjne, wiąże następną poręczówkę. Dopiero teraz dowiaduję się od niego, że Szerpowie idą w górę.

Następne stanowisko zakładam z haków wbitych u stóp „Rysy”. Pozostała nam tylko jedna lina asekuracyjna. Stąd mieliśmy już wracać. Jest popołudnie, pogoda dopisuje. Szerpowie są jeszcze daleko w dole, więc ruszam w górę na „rozpoznanie”. 40 metrów liny szybko się kończy. Główne trudności „Rysy” widzę wyżej. Wojtek podchodzi 20 metrów nad stanowisko. Wspinam się dalej, miejscami zapieraczką. „Rysa” jest dość głębokim kominem, dobrze urzeźbionym. Wygodna półka umożliwia założenie stanowiska. Wiążę linę na sztywno, pozostanie tu jako poręczówka. 20 metrów



Obóz II (4450 m) — w tle szczyt Talung (7340 m) i przełęcz tej samej nazwy (6745 m).

Moł. Marek Malatyński

dołnej części „Rysy” musimy pokonać w dół bez asekuracji. Zjeżdżam trzymając pod ramionami cienką zjazdówkę. Dalej schodzimy bardzo ostrożnie. Jesteśmy na wysokości 8100 metrów. Przy hakach stanowiskowych robimy głęboki wykop na butle i schodzimy niżej. Sierpowie mijają nas. Tien niosą pod samą „Rysę”. Czekamy na nich. Zejście po poręczówkach nie stanowi problemu. Z daleka widać kręcące się koło namiotów postacie. Wczoraj przez radio prosił się o dodatkowy tien. Mamy więc pełny zapas, z rezerwą na ponowienie ataku w razie niepowodzenia w dniu jutrzejszym.

19 maja. Mimo zmęczenia poręczowaniem, nie mogę zasnąć. O drugiej, kiedy trzeba gotować, marudzę i zwlekam. Wojtek zdejmuję maskę, zapala butan, rozpoczyna grzanie wczoraj przygotowanej zupy, zresztą nie nadającej się do jedzenia. W końcu i ja wydobywam się ze śpiwora. Zakładam raki, ładujemy po jednej butli do plecaków, i o szóstej wychodzimy z namiotu. Od razu ruszamy z tieniem. Mamy do przebycia 1000 metrów wysokości we wcale nie łatwym terenie, i to powyżej 7500 metrów. Poza tym i aura nam nie sprzyja: wieje silny wiatr, schodzą pyłówki, a mróz jest tegi. Peruszamy się równocześnie, korzystając z poręczówek. O godz. 8.30 jesteśmy przy zdeponowanym przez Sierpów tlenie. Zostawiamy tu nasze częściowo opróżnione butle, zabierając po dwie pełne. Wojtek Wróż idzie pierwszy. Asekurację sztywną stosujemy tylko tam, gdzie jest to niezbędne. Odcinek od końca „Rysy” aż po „Próg” idziemy z asekuracją lotną. Na wysokości 8300 m drogę zamyka nam skalna ściana. Jak to było widać z dołu, nie ma możliwości ominięcia jej, nie przecina jej też żadna ukryta, wypełniona śniegiem lub lodem depresja.

Z miejsca, gdzie Wojtek założył stanowisko, otwierają się dwie możliwości: ukosem w prawo gładkim zacięciem, lub wprost półtkim kominkiem, w środkowej części lek-

ko przewieszonym. Wybieram wariant drugi. Wbijam dwa haki przelotowe, a pod przewieszką trzeci. Trzymając się petli, trawersem próbuję wydostać się w lewo na żebrzo. Po pierwszym niepowodzeniu, startuję od nowa. Inne ułożenie ciała i oto jestem na żebrze. Wyżej stromizna się zmniejsza, a skala jest dobrze urzeźbiona. Najwięcej czasu tracę na założenie stanowiska: linę wyciągnąłem do ostatniego metra, więc zasięg moich prób wbięcia haka jest niewielki. Dwa haki związane razem będą w drodze powrotnej dobrym stanowiskiem zjazdowym.

Wyżej jest lód, potem dobrze związany śnieg. Wchodzimy na zachód. Tutaj wydaje się nam zaciszniej, i słońce jakby mocniej przygrzewało. Mały odpoczynek. Jemy zmrożone krewetki w sosie pomidorowym, popijamy słodkim mlekiem z tuby. Wojtek woli zimną herbatę z termosu. W tym miejscu pozostawiamy po jednej butli z tieniem pod ciśnieniem 60 atmosfer. Po zmianie reduktora słyszę przeciek. Ponieważ nie pomaga dokręcanie, idę w górę z oszczędnym przepływem 1 litra na minutę. Na końcu zachodu zagradzają nam drogę gładkie turnie, liczące po kilkadziesiąt metrów. Momentami tracę nadzieję. Na szczęście odnajdujemy niestrome kruche zachody, kominki i ścianki, które pozwalają nam zbliżyć się do grani. Wspinaczka wymaga dużej ostrożności. Wieje coraz silniej, śnieżne siodło pod szczytem trawersujemy dosłownie oparci o „ścianę” wiatru, a łącząca nas lina unosi się sztywnym łukiem. Łatwym stoikiem wchodzimy na płaski śnieżny szczyt. W tym samym momencie wiatr całkowicie ustaje. Jesteśmy świadkami jakiegoś fenomenalnego zjawiska, bo przecież niżej słychać jego wycie. Jest godzina 14.15. Zdejmujemy plecaki z butlami, maski. Przez radiotelefon rozmawiamy z bazą, robimy zdjęcia. Wojtek najczęściej zwraca obiektyw w stronę głównego wierzchołka, który jako jedyny góruje nad nami. Dziękujemy sobie za drogę, klepiąc się po plecach. Po półgodzinnym pobycie na wierzchołku, rozpoczynamy zejście. Niebo, dotychczas całkowicie czyste, zaczyna się chmurzyć. Gdy zjeżdżamy przez „Próg”, zaczyna padać. „Rysa” płynie już kaskada śniegu. Wstrząsa mnie nagły błysk a potem grzmot. Jest burza. Schodzę ostrożnie, zapierając się w kruchym kominku. Lina niknie w sunącej masie śniegu, widoczność ograniczona do kilku metrów, okulary zalepiane są nieustannie śniegiem. Nie możemy się porozumieć: odchylam maskę, wołam raz, drugi — bez rezultatu. Boję się nagłego szarpnięcia z dołu. Napięcie mija dopiero wtedy, gdy z mgły wyłania się sylwetka Wojtka. Tu jest początek poręczówek. Mimo że tien się skończył, nie zdejmujemy masek, które świetnie chronią twarz przed śniegiem i wiatrem.

Do obozu IV docieramy o szóstej wieczorem. Jest pusty. Sierpowie zeszli do trójki. My zostaniemy na noc tutaj.

Zaczątek buzy głównej (5200 m)

Fot. Zbigniew Staszczyszyn



Kangchendzönga Środkowa

ZYGMUNT ANDRZEJ HEINRICH

Obaj z Waldkiem Olechem zostaliśmy wyznaczeni przez Piotra do drugiej dwójki szturmowej. Wyruszyliśmy z bazy 17 maja przy pięknej pogodzie. O godzinie 12 doszliśmy do obozu I, a następnego dnia o 11.30 osiągnęliśmy obóz II, gdzie zastaliśmy samotnego Hiszpana, który emocjonował się atakiem swojego rodaka na środkowy wierzchołek. W dniu 19 maja o godzinie 10 byliśmy już w obozie III. Spotkani tu Hiszpanie oświadczyli nam, że nie zdołali osiągnąć szczytu.

Ponieważ atak Genka i Wojtka rozwijał się pomyślnie, mieliśmy do wyboru trzy możliwości: powtórzyć wejście na wierzchołek południowy, co sugerował Waldek, albo spróbować wejść na wierzchołek główny, na co namawiał nas Marek Małatyński, lub wreszcie zaatakować wierzchołek środkowy, na co ja miałem największą ochotę. Po dyskusji ustaliliśmy z Waldkiem, że będziemy próbowali zmierzyć się z wierzchołkiem środkowym. Połączyliśmy się z bazą i uzgodniliśmy decyzję z Piotrem.

Z obozu III obserwowaliśmy atak Genka i Wojtka; widać ich było gołym okiem na tle śnieżnych zachodów w kopule. Słyszeliśmy rozmowy ze szczytu z bazą, sami złożyliśmy im gratulacje.

20 maja wiał silny wiatr, czekaliśmy więc w obozie III, gdzie przed południem w'taliśmy owocynie Genka i Wojtka, schodzących do bazy. Wszyscy w obozie III chcieli atakować szczyt środkowy. Po dyskusji i rozmowie z bazą uzgodniliśmy, że w pierwszym ataku udział wezmą Olech, Brański i Heinrich, a w drugim — trzech z pozostałej czwórki.

Rano 21 maja zachorował Janek Serafin i do obozu II wszedł z nim Marek Rogalski. Pozostała piątka ruszyła w kierunku hiszpańskiego obozu IV — z zamiarem przeniesienia go 300—400 m wyżej. Zabrałiśmy żywność, butle z tlenem, śpiwory, materace, linę, butan. Cenna była pomoc Marków — Małatyńskiego i Janasa. W obozie miał być namiot i kilka butli z tlenem, w tym 3 pełne. Na miejsce dotarliśmy około 14. Było dość późno, postanowiliśmy więc zostać tu na noc — przeniesienie namiotu wymagałoby zbyt wiele czasu. Waldek z Wojtkiem zajęli się odkopaniem namiotu ze śniegu i przygotowaniem biwaku, ja z Markami poszedłem założyć depozyt tlenowy. Szliśmy do godziny 16 i w przewężeniu kuluaru, 150—200 m nad obozem, zostawiliśmy 3 butle.

Markowie pobiegli w dół do obozu III, by po jednodniowym odpoczynku spóbować swojej szansy. We trzech z Waldkiem i Wojtkiem zostaliśmy w ciasnym małym namiocie.

Do szczytu było prawie 1000 m różnicy poziomów, więc postanowiliśmy wstać wcześniej. Wieczorem gotowaliśmy i długo nie mogliśmy zasnąć. Namiot był mały, niewygodny i źle rozbity.

Już o 2 w nocy zrobiliśmy pobudkę. Na zewnątrz była gęsta mgła i prószyl śnieg. O trzeciej chmury opadły i pokazał się księżyc w pełni. Wyszliśmy o 3.30, była piękna, zupełnie jasna noc — sto metrów pod nami kłębiło się morze mgieł, nad nim sterczała iglica Jannu, Talung, wierzchołki Kangchendzöngi, a w dali Makalu, Mount Everest i Lhotse. Dziwnie złotawy księżyc wolniotko przesuwiał się w kierunku Jannu. Pod nogami skrzypiał zmrożony śnieg. Miałem trudności z reduktorem, zaczął się zawór przepływu tlenu, w końcu Waldek podał mi z namiotu reduktor francuski po Hiszpanach.

Zabrałem 2 butle tlenu, linę, hiszpańską szablę śnieżną, trochę żywności i ruszyłem kuluarem w górę, żeby założyć ślad i nie tracić czasu. Szło mi się dobrze, mimo że wczorajsze ślady zawał śnieg. Nad przełęczą Talung niebo powoli bledło. Waldek zbliżał się do mnie, Wojtka jeszcze nie było widać, miał trudności z reduktorem i wyszedł jako ostatni. W pobliżu depozytu dogonił mnie Waldek. Zabrałem stąd pełną butle, zostawiając zużyta, która służyła mi do spania w obozie IV. Teraz rozpoczęła się uparta walka z jednostajnie nachylnym kuluarem. Torowaliśmy na zmianę z Waldkiem. Szczyty ślinito w porannym słońcu, my jednak ciągle znajdowaliśmy się w cieniu i marzyły nam nogi.

Wojtek powoli zbliżał się do nas. Zerwał się wiatr i zaczął mieść śniegiem. Granie dyminy, w dole widać było maleńkie namioty obozu III, leżące jeszcze w cieniu. Szliśmy bez odpoczynku, wiedząc że musimy się spieszyć. Wojtek narzekał na aparaturę tlenową, z którą miał ciągle kłopoty. Około godziny 11 doszliśmy, już w słońcu, do przewężenia kuluaru; tu skończył mi się tlen w butli i założyłem nową. Po dyskusji i pierwszym krótkim odpoczynku zdecydowaliśmy się pójść systemem śnieżnych zachodów w prawo, kierując się na ostrze filara, spadającego z środkowego wierzchołka Kangchendzöngi. Mieliśmy nadzieję, że osiągniemy go w niedużej odległości od szczytu. Wiedzieliśmy, że Hiszpanie popełnili błąd, idąc ślebem wyżej w kierunku przełęczy, a potem wchodząc w skały piętrzące się pod granią.

Teren puszczał i szliśmy ciągle nie związani. Śniegiem pod stromymi skalami osiągnęliśmy 30-metrowy próg o dobrze urzeźbionej skale i niezbyt dużym nastromieniu. Potem śnieżne pole otworzyło nam drogę na granicę, podprowadzającą pod następny próg. I teraz niespodziewanie na prowadzenie wyszedł Wojtek Brański. Szliśmy za nim po płytowych skalach, aż do następnego rozległego pola śnieżnego, nad którym z prawej strony sterczała skalna turnia. Przez pole, idąc śladami Wojtka, weszliśmy w śnieżny

żlebik z luźnymi kamieniami i podeszliśmy pod wspomnianą turnię. Była piękna słoneczna pogoda, wiatr ucichł. Wojtek zatrzymał się pod ostatnim skalnym progiem. Stojąc na śnieżnej „grafice”, prosił o linę, bo próg był eksponowany. Po drodze pomogłem Waldkowi wymienić butle, gdyż skończył mu się tlen. Asekurując Wojtkę, a potem Waldkę, miałem trochę czasu, zmieniłem więc film w aparacie i zrobiłem zdjęcia głównego wierzchołka i Yalung Kanga, a także grani nad nami. Przez skalne bloki doszedłem do stanowiska. Teraz jeszcze 15–20 m śnieżno-skalną grafiką i znaleźliśmy się na płaskim rozległym plateau na grani środkowego wierzchołka — nad nami wypiętrzał się już tylko śnieżny szczyłek o wysokości 10 metrów.

Pierwszy wszedł na niego Waldek z plecakiem i w masce tlenowej, my obaj z Wojtkiem zostawiliśmy plecaki i zdjęliśmy maski, pokonując ostatnie metry bez obciążenia. Była godzina 14.15. Gratulacje, zdjęcia, rozmowa z bazą. Gratulacje od kolegów z dotu. Jurek Wesolowski ponaglał, żeby się spieszyć z zejściem, gdyż w bazie szaleje burza z wyładowaniami i pada śnieg.

Po stronie północnej góry zakryte były mgłami, które podchodziły pod samą gran, na szczęście wierzchołki południowy i głów-

ny pławiły się w słońcu, widać też było północne zbocza, strome i śnieżne, ginące poniżej w mgłę. Gran była przeważnie śnieżna z potężnymi nawisami, a jasnożółte skały pięknie harmonizowały z granatem nieba. W dali z morza mgieł sterczała wyraźnie nizej Janu, niedaleko w dole — Talung i Kabru z ogromnym tarasem śnieżnym na grani. Makalu i Everest zakryte były chmurami.

Przed godziną 15 zaczęliśmy zejście. Schodziłem ostatni, asekurując kolegów na skalnych progach za pomocą śnieżnej szabli i liny poręczowej. Na 8300 m Wojtkowi skończył się tlen, co od razu odbiło się na tempie zejścia. Dopiero w obozie IV dowiedziałem się, że schodząc stromym śnieżnym polem obsunął się on kilka metrów, i cudem zdołał w porę wyhamować. I mnie skończył się tlen, na 8200 m założyłem linę poręczową na blok i pierwszy zszedłem na śnieżne pola nad kuluarem, którym szybko osiągnąłem miejsce, gdzie poprzednio odpoczywaliśmy.

Z dołu nadciągały ciemne mgły. W łatwym już terenie schodziłem sam i po 18 dotarłem do obozu IV, gdzie po pół godzinie, już o zmroku, nadeszli też Waldek z Wojtkiem. Dopiero teraz, leżąc w namiocie, mogliśmy spokojnie mówić o pełnym sukcesie wyprawy.

O krok od szczytu

MARK MALATYŃSKI

22 maja. W ciągu poprzednich dni w obozie III znalazła się grupa ubezpieczająca — Brański, Janas, Malatyński, Rogalski i Serafin — która po zakończeniu ataków na Kangchendzongę Południową planowała wejście na wierzchołek środkowy. Los pokrzyżował nasze plany. Do ataku wyruszyli Heinrich i Olech oraz dołączeni do nich Brański i Olech oraz chory Serafin, do którego sprowadzenia wyznaczono Rogalskiego. Do obozu III doszli jednak wczoraj Brady i Nowacki, a wieczorem powrócił Rogalski z Uchmańskim. Tego dnia o godzinie 10 dotarli też z „dwójki” 3 Sierpowie. Podczas rozmowy z bazą postanowiono wykorzystać ich do likwidacji obozu IV pod wierzchołkiem południowym. Ledzieliśmy wraz z Janasem w namiocie, przeliczając wagę plecaków i kalkulując możliwości transportu do obozu IV, które pozwoliłyby na przeprowadzenie drugiego ataku w 4 osoby. Brakowało jednak tlenu. Benek Uchmański, marząc z pewnością o udziale w wejściu, wahał się, czy nie wyjść samotnie lub z Sierpami po pozostawione w „czwórce” pod wierzchołkiem po-

łudniowym pełne butle, w końcu jednak na zniesienie stamtąd wyposażenia zdecydował się Przemek Nowacki z dwójką Sierpów. Wyruszyli około południa.

O godzinie 15 z radiotelefonu dowiedzieliśmy się, że wierzchołek środkowy został zdobyty. Przelotne mgły i śnieżyce uniemożliwiały obserwację, dopiero o zmierzchu dostrzeżliśmy jedną osobę obok hiszpańskiej „czwórki”. Później, około 20, powrócił do naszego obozu zespół Nowackiego. W rozmowie radiotelefonicznej Piotr wyraził warunkową zgodę na powtórzenie ataku, ostatecznie uzależnił ją jednak od komunikatu o pogodzie.

23 maja. O godzinie 8, kiedy szóstka zamierzaliśmy wyruszyć do obozu IV, z góry nadeszli zdobywcy środkowego wierzchołka. Poinformowali nas o charakterze drogi, trudnościach, kłopotach z aparaturą tlenową. Wyszliśmy dwoma zespołami: Brady z Mingmą i Janas z Malatyńskim. Po nas mieli ruszyć Rogalski i Uchmański. Warunki śniegowe były ciężkie, plecaki też, tak że do obozu IV doszliśmy dopiero o godzinie 15.30. Janas nie wyraził chęci pójścia w górę w celu założenia depozytu i obaj z Mingmą ruszyli w dół. Porzadkując namiot czekaliśmy na Rogalskiego i Uchmańskiego. Było mgliście, padał śnieg. Kiedy zobaczyliśmy ich u stóp kuluaru, szli bardzo wolno i mimo naszych okrzyków, nie mogli się zorientować, jaki właściwie jest kierunek podejścia, wreszcie zawrócili. W wieczornej rozmowie Piotr

nie wyraził zgody na drugi atak, lecz na moje rozpaczliwe prośby, ostateczną decyzję odłożył do jutra.

24 maja. Około godziny 10 wyszliśmy we dwójkę, by założyć depozyt tlenowy dla drugiej trójki szturmowej. Marek Janas torował, mając jedną butlę, ja szedłem po śladach z dwiema butlami w plecaku. Po 3½ godzinach złożyliśmy cały ładunek w śniegu, 250—300 m powyżej obozu IV. Po powrocie, Marek zajął się gotowaniem, ja — wyrąbaniem platformy pod namiot „Makalu”, który nieśli Uchmański i Rogalski. W niesłychanym napięciu oczekiwaliśmy ich nadejścia. O godzinie 18 rozmowa z bazą: Piotr pyta o drugą dwójkę. Ponieważ nie nadeszła, umówiliśmy się na łączność godzinę później. Zgenerowani, wyglądaliśmy z namiotu co kilkanaście minut. Zjawili się przed 19, obaj ogromnie zmęczeni. Piotr przez radio poprosił Marka Rogalskiego, by zrezygnował z ataku, gdyż już dziesiąty dzień pracuje na dużej wysokości i może zabrać mu sił. Marek zgodził się. Po odpoczynku wyszli wraz z Janasem rozstawić namiot. Ja zajęłem się gotowaniem posiłku. Marek Janas wrócił do namiotu po 22. „Chyba się zająłem” — powiedział.

25 maja. Obudziliśmy się o godzinie 2. Po długim gotowaniu w ciasnocie zwieszającego się w połowie nad stołkiem namiotu hiszpańskiego, wyruszyliśmy związani liną o 5.20. Szliśmy bardzo wolno — od wczesnej napałało śniegu i ślady były zasypane. Prowadził Marek, z uwagi na groźbę lawin kierując się pod osłonę skałek w lewej krawędzi kuluaru. Niebawem zaczęliśmy zmieniać się w torowanu i po kilku godzinach dotarliśmy do naszego depozytu, gdzie wymieniliśmy butle. Dalsza droga była nadal uciążliwa, a wzajemne porozumiewanie się utrudniła utrata głosu przez Marka. W po-

łudnie doszliśmy do śpiętrzącej się części kuluaru. Nie wiedząc, którym polem śnieżnym należy wtrawersować w prawo, połączyliśmy się z bazą. Olech przypomniał nam, że mamy 2 godziny opóźnienia w stosunku do czasu jego zespołu — apelował o rozważenie i nieprzedłużanie wspinaczki ponad godzinę 15.

Odkręciliśmy teraz bardziej reduktory, Marek, którego aparatura okazała się nie całkiem sprawna, twierdził, że bez tlenu idzie mu się łatwiej, niż z tlenem. Zaczął wariancie w celowość dalszej wspinaczki. Wyszedłem na prowadzenie, starając się iść możliwie najszybciej. Nad poręczówkę pozostałą po zdobywcach szliśmy innymi, niż oni wariantami, dochodząc ponad zoskwiłoną przez nich szablę. Poniżej została turnia, zdobyta prawdopodobnie przez zespół hiszpański, przed nami, może w odległości 2 wyciągów, wypiętrzala się silnie nastromiona krawędź turni szczytowej, pokrytej czapą śniegu. Zgodnie z poleceniem Olecha, ponownie nawiązaliśmy łączność z bazą, która stanowczo wezwała nas do odwrotu, minęła już bowiem 16. Opierałem się jak mogłem trzęśnym wywozom bazy i po rozmowie zacząłem namawiać Marka do małej „niesubordynacji” i pójścia na niedaleki wierzchołek, wznoszący się nad nami o 50—70 metrów. Wobec jego stanowczego sprzeciwu, z żalem zdecydowałem się zawrócić.

W drodze powrotnej zabraliśmy 4 butle, pozostawione przez zdobywców. Schodząc, w dole kuluaru dostrzegliśmy Benka Uchmańskiego, który wyszedł nam naprzeciw, lecz nie widząc nas, z wysokości ponad 8000 m zawrócił do obozu. Dotarliśmy tam o zmierzchu, zmęczeni i milczący, pełni nieokreślonej gorczy czy żalu, jeszcze nie bardzo świadomi, że było tak blisko, kompletnie obojętni na stopy nieczule i białe.



rzy, których nie wystraszyły pogarszające się warunki atmosferyczne. Transport ładunków do Ramser (4500 m).

8 kwietnia — Wobec przedłużającego się transportu karawanowego wyprawa musi zmienić założenia faktyczne. Stworzenie grupy rekonesansowej. E. Chrobak, Z. Heinrich, K. Olech, J. Olszewski, A. Sobolewski, W. Wróź i Szerpa Lhakpa Gyalu wychodzą z Ramser z zadaniem rozpoznania terenu i założenia bazy. Pozostali uczestnicy wyprawy podejmują pracę tragarzy.

10 kwietnia — Założenie przez rekonesans bazy przejściowej (ok. 5100 m) na lodowcu Yelung, w pobliżu filara Kangczendzongi Południowej.

11 kwietnia — W wyniku rozpoznania drogi rezygnacja z ataku filarem południowym. Wybór drogi przez lodospad i Wielki Taras a dalej na grań południową. Założenie bazy wysuniętej (ok. 5500 m) w miejscu dawnej bazy wyprawy angielskiej z 1955 roku. Założenie obozu przerzutowego (ok. 4800 m) na lodowcu. Tragarze przynoszą z Toplejungu ok. 400 kilogramów ryżu i pięć kartonów z żywnością.

12 kwietnia — Pierwsza wejście na lodospad (do wysokości ok. 5700 metrów) J. Olszewskiego i W. Wróźa. Zmniejszenie liczby tragarzy do dwudziestu dwóch i podjęcie przez nich transportu ładunków z Ramser do obozu przerzutowego według stawki dziennej 37 rupii nepalskich od ładunku, z prawem zakupu ryżu lub fasoli, bądź kukurydzy, z zapasów wyprawy.

13 kwietnia — Poręczowanie drogi w kierunku obozu I przez W. Brańskiego, Z. Heinricha, A. Sobolewskiego.

16 kwietnia — Założenie obozu I na wysokości ok. 6200 metrów na „Garbie”, czyli śnieżnej grani, przez E. Chrobaka, Z. Heinricha, K. Olecha, J. Olszewskiego, W. Wróźa oraz Lhakpę Gyalu.

17 kwietnia — Wytyczanie dalszej drogi z obozu I przez E. Chrobaka i W. Wróźa. Postanowienie likwidacji bazy przejściowej, która wydłuża nam podejście do bazy wysuniętej i wyżej.

19 kwietnia — Założenie bazy na lodowcu na wysokości ok. 5200 metrów, prawdopodobnie w miejscu dawnej bazy wyprawy japońskiej z 1973 roku.

20 kwietnia — M. Małatyński, M. Rogalski, G. Siekiński próbując zaopatrzyć obóz I, składają depozyt na wysokości ok. 6000 metrów. Przenoszenie ładunków z bazy przejściowej do bazy głównej. Opuszczenie przez ostatnich uczestników biwaku w Ramser i ich przejście do obozu przerzutowego.

21 kwietnia — Likwidacja depozytów i zaopatrzenie obozu I przez W. Brańskiego, W. Kłaputa, M. Małatyńskiego, M. Rogalskiego.

22 kwietnia — Podwyższenie stawki dziennej tragarzy do 45 rupii nepalskich. Tragarze transportują ładunki z obozu przerzutowego do bazy. Zaopatrzenie obozu I przez Z. Heinricha, K. Olecha, A. Sobolewskiego oraz J. Brady'ego i J. Serafina.

23 kwietnia — Poręczowanie drogi w kierunku obozu II przez Z. Heinricha i K. Olecha. Zaopatrzenie obozu I przez E. Chrobaka, J. Olszewskiego, A. Piętraszka, C. Tabina, W. Wróźa.

24 kwietnia — Założenie obozu II, w dolnej części ściany Wielkiego Tarasu, na wysokości ok. 6600 metrów, przez E. Chrobaka, Z. Heinricha, K. Olecha, J. Olszewskiego, W. Wróźa oraz Lhakpę Gyalu.

26 kwietnia — Przejście do obozu II oraz zakładanie drogi w kierunku obozu III przez E. Chrobaka, W. Wróza i Lhakpę Gyalu.

27 kwietnia — Założenie obozu III pod ostatnią barierą seroków przed Wielkim Tarasem, na wysokości ok. 7150 metrów, przez E. Chrobaka, W. Wróza i Lhakpę Gyalu. Zaopatrzenie obozu II przez W. Brańskiego, M. Janasa, W. Kłaputa, M. Malatyńskiego, M. Rogalskiego i J. Serafina. Przybycie do bazy z obozu przerzutowego ostatnich uczestników. Objęcie kierownictwa bazy przez J. Wesółowskiego.

28 kwietnia — Próba zaopatrzenia obozu III przez W. Brańskiego, M. Rogalskiego, J. Serafina i złożenie depozytu na wysokości ok. 6900 metrów. W bazie stwierdzamy, że w kilku ładunkach są broki. Zginęło między innymi sporo żywności, w tym cukier. Sprawcami kradzieży byli zapewne tragarze.

29 kwietnia — Zakończenie transportu ładunków do bazy. Przejście pierwszych XIV etapów w czternaście dni, etapów XV—XVIII w dziewięć dni, a etapów XIX—XXI w dwadzieścia cztery dni. Transport trwał w sumie czterdzieści siedem dni.

30 kwietnia — Poręczowanie drogi w kierunku obozu III przez Z. Heinricha, M. Malatyńskiego, K. Olecha, J. Olszewskiego. Opracowanie w bazie przez E. Chrobaka, W. Kłaputa, W. Wróza planu faktycznego ataku szczytowego oraz dokładnego ruchu zespołów zaopatrujących i zakładających obozy IV i V. Akceptacja planu przez kierownika wyprawy, P. Młoteckiego.

1 maja — Z. Heinrich, M. Malatyński, K. Olech, J. Olszewski kończą poręczowanie drogi do obozu III i przenoszą do tego obozu pozostawione poprzednio w depozycie ładunki.

2 maja — Zaopatrzenie obozu II przez J. Brady'ego, W. Kłaputa, M. Rogalskiego, B. Uchmańskiego i czterech Szerpów.

3 maja — Zaopatrzenie obozu III przez W. Kłaputa, M. Rogalskiego i Szepę Mingmę Gyaljona.

4 maja — Zaopatrzenie obozu III przez E. Chrobaka, W. Wróza i Lhakpę Gyalu, natomiast obozu II przez W. Brańskiego, M. Janasa, J. Serafina.

5 maja — E. Chrobak, W. Wróza i Lhakpa Gyalu wytyczają drogę w kierunku obozu IV, wchodzą na Wielki Taras i dochodzą do wysokości ok. 7400 metrów. W. Brański, M. Janas, J. Serafin i Mingma zaopatrują obóz III.

6 maja — Dalsze wytyczanie i poręczowanie drogi w kierunku obozu IV przez E. Chrobaka, W. Wróza i Lhakpę Gyalu. Zaopatrzenie obozu III przez M. Janasa, J. Serafina i dwóch Szerpów. Odejście z bazy Z. Staszyszyna z listami do władz w kraju o dofinansowanie wyprawy kwotą 3200 dolarów.

7 maja — Próba zaopatrzenia obozu IV przez M. Janasa i J. Serafina i złożenie depozytu na wysokości ok. 7400 metrów. Zaopatrzenie obozu III przez Z. Heinricha, K. Olecha, J. Olszewskiego, B. Uchmańskiego.

8 maja — Założenie obozu IV na wysokości ok. 7600 metrów pod skałami po lewej stronie kuluaru przez E. Chrobaka, Z. Heinricha i Lhakpę Gyalu. Ich nocleg w tym obozie. Zaopatrzenie obozu IV przez M. Janasa, K. Olecha, J. Olszewskiego, J. Serafina, B. Uchmańskiego i ich powrót do obozu III.

9 maja — E. Chrobak, Z. Heinrich i Lhakpa Gyalu wytyczają oraz porę-

cząją drogę do grani południowej, wynoszą dwie butle z tlenem na wysokość ok. 8000 metrów, w miejscu gdzie zamierzają postawić obóz V. Zaopatrzenie obozu IV przez J. Serafina i W. Wróza, obozu III przez P. Nowackiego i Z. Pawłowskiego.

10 maja — Podjęcie decyzji, że obóz V nie będzie założony z powodu niekorzystnych warunków atmosferycznych. Pierwsze objawy choroby wysokościowej u J. Olszewskiego w obozie III i decyzja sprowadzenia go w dół. Próba zaopatrzenia obozu IV przez K. Olecha i B. Uchmańskiego. Złożenie depozytu na wysokości ok. 7300 metrów.

11 maja — Próba zaopatrzenia obozu IV przez K. Olecha i B. Uchmańskiego i złożenie depozytu na wysokości ok. 7400 metrów. Zaopatrzenie obozu III przez J. Brady'ego i M. Malatyńskiego.

12 maja — Opracowanie nowego planu ataku szczyfowego środkiem ściany. Wyznaczenie przez kierownika wyprawy P. Młoteckiego do zespołu pierwszego E. Chrobaka i W. Wróza.

15 maja — Zaopatrzenie obozu III przez W. Brańskiego, M. Rogalskiego i Szarpę Sonama.

16 maja — Zaopatrzenie obozu IV przez W. Brańskiego i M. Rogalskiego, między innymi w tlen, obozu III przez E. Chrobaka, W. Wróza i Lhakpę oraz P. Nowackiego i Mingmę.

17 maja — Zaopatrzenie obozu IV przez E. Chrobaka, W. Wróza oraz Lhakpę i Mingmę, obozu III przez J. Brady'ego, Z. Pawłowskiego, C. Tabina.

18 maja — Poręczowanie drogi prowadzącej na szczył do wysokości ok. 8100 metrów przez E. Chrobaka i W. Wróza oraz wyniesienie do tej wysokości przez Lhakpę i Mingmę czterech butli tlenu. Dodatkowe zaopatrzenie obozu IV, między innymi w tlen, przez J. Brady'ego, W. Brańskiego, Z. Pawłowskiego, M. Rogalskiego oraz obozu III przez M. Janasa, M. Malatyńskiego, J. Serafina i dwóch Szarpów. Stan poręczy między bazą wysuniętą a obozem I — ok. 700 m, między obozem I a II — ok. 800 m, między obozem II a III — ok. 800 m, między obozem III a IV — ok. 600 m, powyżej obozu IV — ok. 520 m (i 160 m w kierunku grani południowej).

19 maja — O godzinie szóstej z obozu IV wychodzą (w aparatach tlenowych) na Kangczendzongę Południową E. Chrobak i W. Wróz. Horarium ataku: godzina 9.48 — przejście zaporęczowanej rysy, 10.15 — podejście pod 20—25-metrowy próg skalny, 11.32 — przejście progu skalnego (trudności III—IV w skali alpejskiej), 13.45 wejście w skały podgraniowe, 14.15 — wejście na szczył i łączność radiotelefoniczna z bazą, 14.45 — rozpoczęcie drogi zejściowej, 15.50 — zejście przez próg skalny, 16.15 — początek burzy śnieżnej z wyfadowaniami atmosferycznymi, która trwała około półtorej godziny, 18.00 — dojście do namiotów obozu IV, 18.10 — łączność z bazą. Decyzja kierownika wyprawy o rozbudowie opuszczonego przez Hiszpanów obozu IV hiszpańskiego i przeprowadzeniu ataku na Kangczendzongę Środkową. Zaopatrzenie obozu III przez Z. Heinricha i K. Olecha.

20 maja — Zejście o godzinie dziewiętnastej E. Chrobaka i W. Wróza do bazy i ich uroczyste powitanie. W. Brański, Z. Heinrich, M. Janas, M. Malatyński, K. Olech, M. Rogalski, J. Serafin w obozie III czekają na poprawę

pogody, żeby przejść z uzupełniającym zaopatrzeniem do obozu IV hiszpańskiego na wysokość ok. 7550 metrów w kierunku na Kangczendzongę Środkową. Wyjście W. Kłaputa do Yamphodin w celu zwerbowania fragarzy na karawanę powrotną.

21 maja — Zaopatrzenie obozu IV hiszpańskiego przez W. Brańskiego, Z. Heinricha, K. Olecha, M. Malatyńskiego oraz wyniesienia depozytu tlenowego na wysokość ok. 7700 metrów przez Z. Heinricha, M. Janasa, M. Malatyńskiego.

22 maja — Wyjście (w aparatach tlenowych) na Kangczendzongę Środkową o godzinie wpół do piątej rano z obozu IV hiszpańskiego W. Brańskiego, Z. Heinricha, K. Olecha. Horarium szturmu: godzina 11.00 — wyjście z kuluaru śnieżnego w prawo zachodami śnieżnymi w kierunku szczytu, 14.15 — wejście na szczyt i łączność radiotelefoniczna z bazą, 15.00 — rozpoczęcie drogi zejściowej, 18.00 — dojście do namiotów obozu IV hiszpańskiego.

P. Nowacki, Lhakpa Gyau i Sona Gyau likwidują obóz IV i wracają ze sprzętem do obozu III około godziny dwudziestej pierwszej czterdzieści.

23 maja — Zaopatrzenie obozu IV hiszpańskiego przez M. Janasa, M. Malatyńskiego, J. Brady'ego i Mingmę. M. Rogalski i B. Uchmański składają depozyt na wysokości ok. 7300 metrów. Zejście o godzinie siedemnastej piętnaście do bazy W. Brańskiego, Z. Heinricha, K. Olecha i ich uroczyste powitanie.

24 maja — M. Janas i M. Malatyński wynoszą na wysokość ok. 7800 metrów depozyt tlenowy. M. Rogalski i B. Uchmański przychodzą z zaopatrzeniem do obozu IV hiszpańskiego, schodzą po depozyt i przynoszą go do obozu. Kierownik wyprawy P. Mfolecki zgadza się na przeprowadzenie próby II wejścia na Kangczendzongę Środkową 25 maja przez M. Janasa i M. Malatyńskiego. Trzech stałe zatrudnionych fragarzy rozpoczyna znoszenie ładunków do Ramser.

25 maja — O godzinie piątej dwadzieścia rano M. Janas i M. Malatyński (w aparatach tlenowych) rozpoczynają atak na Kangczendzongę Środkową. Horarium ataku: godzina 13.15 — dojście do przewężenia kuluaru i łączność z bazą (decyzja, że mogą kontynuować wejście do godziny 15.30, po czym powinni rozpocząć schodzenia), 16.15 — dojście do wysokości 8400 metrów, łączność z bazą i początek schodzenia, 17.25 — łączność z bazą, 20.00 — powrót do namiotów obozu IV hiszpańskiego M. Malatyńskiego, a następnie M. Janasa. Tego samego dnia trwa znoszenie wartościowego sprzętu z obozów.

26 maja — Likwidacja obozu IV hiszpańskiego przez M. Janasa, M. Malatyńskiego, M. Rogalskiego, B. Uchmańskiego i zniesienie między innymi dziewięciu butli tlenowych do wysokości ok. 7400 metrów. Znoszenie sprzętu z pozostałych obozów.

27 maja — Wyjście z obozu III Lhakpy Tseringa i Sona Gyau po pozostawione na wysokości ok. 7400 metrów butle tlenowe i zniesienie ich poniżej obozu II. Wyjście z bazy do obozu II Z. Heinricha i J. Olszewskiego, a do obozu I Z. Pawłowskiego i A. Pietraszka na znoszenie sprzętu.

28 maja — Likwidacja obozu III przez Z. Heinricha, J. Olszewskiego oraz

ZYGMUNT ANDRZEJ HEINRICH

BIAŁO-CZERWONA NA ŚRODKOWEJ

Od miesiąca, zakładając kolejne obozy, z zachwytem patrzymy na piętrzące się nad nami wierzchołki Kangczendzongi. Dymiące pióropuszcami śniegu, skute mrozem i niedostępne w świetle budzącego się dnia, powoli zapelniają się słońcem, które uwydatnia ich rzeźbę i jakby przybliża je do nas. Wieczorem, gdy w dolinach zapada już zmrok, złączą się w promieniach zachodzącego słońca, przybrane w delikatne mgły, aż wreszcie po zachodzie ich obraz traci ostrość i rozplywa się w pastelowych kolorach zmierzchu.

Nocę są pogodne, mroźne i pełne gwiazd. Tylko w godzinach południowych często pada śnieg. Niezmiennie co kilkadziesiąt minut dochodzi do nas huk lawin. To spadające seraki wyznaczają codzienny rytm życia w stromych ścianach Kangczendzongi. Z początku ich odgłosy, odbite od ścian Talunga i Kabru, zwielokrotnione echem, budziły w naszych sercach grozę i uczucie zwątpienia. Z czasem poznajemy miejsca szczególnie zagrożone i prowadzimy drogę możliwie bezpiecznie, zakładając setki metrów lin poręczowych przez dolny i górny lodospad, idąc podobnie jak poprzednie wyprawy aż na Wielki Taras, gdzie 27 kwietnia staje obóz III.

Wczoraj liczną grupą dotarliśmy, po założonych uprzednio przez Genka Chrobaka i Wojtkę Wraża linach poręczowych, do przewężenia w kuluarze Kangczendzongi Południowej. Po wyrębaniu platformy w lodzie, na wysokości 7600 metrów stawiamy pierwszy namiot obozu IV. Na noc zostajemy w trójkę z Genkiem oraz Lhakpą i śpimy w maskach tlenowych. Dziś, 9 maja, walcząc na oblodzonych stokach z silnym mroźnym wiatrem, zakładamy liny poręczowe do miejsca, gdzie na wysokości 8100 metrów, w górnej części filara spadającego wprost na lodowiec Yalung z wierzchołka południowego, jutro mamy założyć obóz V. Lhakpa zostawia tu dwie butle z tlenem. Nad nami kilkadziesiąt metrów wyżej piętrzą się strome skalne bloki o żółtawej barwie, niełatwe do przejścia. Wieczorem w porywach wiatru schodzimy do obozu IV, gdzie przed namiotem spotykamy Janka

Serafina i Wojtko Wróza. Oni również są zmęczeni. Nie mamy sił na wywabianie w lodzie platformy i rozbicie drugiego namiotu. Zmarznięty Lhakpa samotnie schodzi do obozu III. Zostajemy w czwórce w dwuosobowym namiocie. Jest ciasno i niewygodnie. Rozmowy nie kleją się, tym bardziej że pogoda psuje się. W nocy przez obóz spadają pyłowe lawinki. Śpimy „na tlenie”. Zachrypnięty Wojtek ma ataki kaszlu. Rano wiatr przewala mgły, wokół pochmurno i zimno. Nikt nie ma ochoty na opuszczenie ciepłego śpiwora. Dopiero o godzinie dziesiątej wychodzę na stok i odkopuję namiot ze śniegu. W myślach oceniam sytuację. W obozie są tylko cztery butle z tlenem, kończy się jedzenie, stoi tylko jeden namiot. Jesteśmy zmęczeni kilkudniową akcją i wyczerpani niewygodnym biwakiem. Do szczytu mamy prawie 1000 metrów różnicy poziomów w trudnym, skomplikowanym terenie. Uważam, że atak trzeba przygotować z udziałem pozostałych kolegów i Sierpów. W obecnej sytuacji zejście do bazy na odpoczynek jest moim zdaniem najrozsądniejszym rozwiązaniem. Ponieważ pogoda zaczyna się poprawiać, Genek i Wojtek chcą dziś rozbić obóz V, a jutro atakować szczyt. Przekonany, że nie mają tym razem szansy na osiągnięcie sukcesu, pakuję plecak i po linach poręczowych zaczynam schodzić w kierunku obozu III.

Jestem w połowie stoku, gdy zejście rozpoczyna pozostała trójka. Na Wielkim Tarasie czekam na nich, jednak siadają w śniegu i odpoczywają, zachowując kilkusetmetrowy dystans. Ruszam więc samotnie w dół. Nad obozem III spotykam Waldek i Benka, idących z ładunkami w górę. Waldek również jest zdania, że z atakiem należy poczekać, aż uzupełnimy zapas trzecie w obozach. Po chwili wchodzę do namiotu i rozpalam butanowy palnik. Po zejściu Wojtek i Genek nie szczędzą mi cierpkich i jakże wstydliwych uwag, że z mojego powodu wyprawa wróci bez sukcesu. Po krótkim odpoczynku rozpoczynają zejście do bazy. Przed wieczorem zjawia się Waldek z Benkiem i długo rozmawiamy na temat dalszego prowadzenia akcji. Następnego dnia po śniadaniu Waldek oraz Benek ruszają z ładunkami do obozu IV, a ja samotnie rozpoczynam zejście do bazy, mijając po drodze podchodzących do obozu III kolegów i Sierpów.

W chwili, gdy doszedłem do rozległej doliny między lodospadami, z dołu nadciągają mgły i zaczyna padać śnieg. Dobrze się stało, że spotkamy się w bazie, bo dziś miał się odbyć atak szczytowy, a akurat pogoda nie dopisała.

Na grani nad obozem I doganiam liczną grupę, która sprowadza Józka Olszewskiego. Niespodziewanie osłabł dwa dni temu w obozie III, ale zejście pod opieką Janka Serafina i sen „na tlenie” pozwala mu szybko wrócić do zdrowia. Józek, który tyle zdziałał przy zakładaniu obozów, został teraz w decydującym okresie wyeliminowany z udziału w ataku szczytowym. To się nazywa pech.

Po półgodzinnym odpoczynku w namiotach obozu I rozpoczynamy zejście po linach poręczowych przez dolny lodospad, utrzymując jednak w śnieżycy i mgle kontakt głosowy. O zmroku docieramy wszyscy do bazy.

Ranek 12 maja jest znowu pogodny. Po śniadaniu Piotr prosi mnie na rozmowę. Pyta wprost, dlaczego nie poszedłem z Genkiem, Wojtkiem i Jankiem do obozu V. Przedstawiam mój punkt widzenia podkreślając, że atak jeszcze nie był przygotowany, a ludzie zbyt zmęczeni. Piotr przyznaje mi rację i prosi o cierpliwość, zachowanie spokoju i nie wdawanie się w niepotrzebne dyskusje. Wyznacza Waldka Olecha i mnie w skład drugiego zespołu szturmowego, twierdząc, że zaopatrzeniem obozu IV i przygotowaniem ataku zajmą się inni uczestnicy wyprawy i Sierpawie. Przypominam Piotrowi, że wejście szczytowe planowaliśmy między 15 a 25 maja, w okresie przed pełnią księżyca, kiedy pogoda jest najlepsza i można prowadzić akcję również nocą. Przed nami więc kilka dni odpoczynku w bazie przed ostateczną rozgrywką o południowy wierzchołek Kangczendzongi.

Wraz z Genkiem i Wojtkiem idę na przeciwległą stronę lodowca, aby przez lornetę przyrzeć się planowanej drodze. Chłopcy chcą zmienić plan ataku. Wypatrzyli bowiem system śnieżnych pól i zachodów, biegnących przez środek kopuły szczytowej, którymi bez zakładania dalszych obozów pragną wejść na szczyt. Po dokładnym rozpoznaniu zapada decyzja potwierdzająca ich sugestie. Wieczorem po czterodniowym wypoczynku pakują plecaki i ruszają wraz z Lhakpą do bazy wysuniętej, by po noclegu wyjść w stronę Południowej. 16 maja przed nimi dotarli z Benem do obozu IV — Brański i Rogalski. W dwa dni później doszli z zaopatrzeniem do obozu IV — Brady, Brański, Pawłowski i Rogalski.

Z Waldkiem dopiero 17 maja o godzinie piątej ruszamy w górę. Od kilku dni utrzymuje się piękna słoneczna pogoda. Idąc przed dolny lodospad po śladach poprzednich zespołów, szybko zdobywamy teren. Już o wpół do jedenastej jesteśmy w obozie I, gdzie po południu schodzą filmowcy: Benek Uchmański z Szymkiem Wdowiakiem, a przed wieczorem Przemek Nowacki, który sprowadza z obozu III chorego Sonama.

Następnego dnia z grani nad obozem I obserwujemy czteroosobową grupę szturmową wyprawy hiszpańskiej, którą widać w dolnym przewężeniu kuluaru, spadającego z przełęczki pomiędzy głównym a środkowym wierzchołkiem Kangczendzongi. Dwóch Hiszpanów i dwóch Sierpów wyrusza rano z obozu IV z zamiarem wejścia na środkowy, nie zdobyły jeszcze wierzchołek.

Szybko zjeżdżamy w dolinę. Jest duszno i gorąco. Nad nami niebieskawe seraki drugiego lodospadu i dobrze widoczna ścieżka, wydeptana w głębokim śniegu, ginąca wysoko pod Wielkim Tarasem. W połowie uskoku, pod ogromnymi barierami seraków, widać namioty obozu II. Docieramy do nich w południe. Spotykamy tu Hiszpana, który emocjonuje się atakiem swych kolegów, mając włączony radiotelefon. Jest pięknie, cicho i ciepło. Nad lodowiec nadciągają z dołu skłębione chmury. Przed nami strzeliste turnie Jannu i White Wave odcinają się ostro od turkusowego nieba, a nad obozem piętrzą się żółte skały Yalung Kangu (8433 m).

Daleko w dole, na grani, pokazują się dwie małe sylwetki. To nasi filmowcy szykują się do zjazdu w dolinę między lodospadami. Gotując obiad wsluchujemy się w hiszpańskie rozmowy. Cały czas prowadzi Sierpa Phuri,

a dotrzymuje mu kroku Hiszpan Narcis Serrat. Drugi zespół odpadł już z walki o szczyt. Słońce powoli chyli się ku zachodowi, a jego promienie nadają górą coraz bardziej intensywnej barwy. Z dołu nadchodzi Szymek z Benkiem. Robimy dużo kolorowych zdjęć. Dziś Genek i Wojtek z pomocą Sierpów — Lhakpy i Mingmy, poręczowali teren nad obozem IV do wysokości 8100 metrów i wynieśli tam kilka butli z tlenem. Teraz odpoczywają w obozie IV przed jutrzejszym atakiem. Są w doskonałych humorach. Wojtek Brański i Marek Rogalski ponownie donieśli dziś tlen do obozu IV.

W nocy długo nie mogą zasnąć podekscytowani tym, co dzieje się w górze. Rano o świcie ruszamy z Waldkiem do obozu III. Na miejsce docieramy o dziesiątej. Spotykamy tu Hiszpanów i poznajemy szczegóły ich ataku. Szturmowa dwójka zdołała osiągnąć skalną turnię, nie leżącą jednak w grani i z niej widzieli w odległości kilkuset metrów śnieżny wierzchołek środkowej Kangczendzongi.

Atak Genka i Wojtka na Południową rozwija się pomyślnie. Widać ich bez lunety na tle śniegów w kopule. Małe punkciki przesuwają się w górę, uparcie pokonując wysokość. Na dłużej zatrzymał ich tylko skalny próg, przedzielający strome śnieżne pola. Obserwujemy ich potem na długim zachodzie, którym dochodzą w podszczytowej partii ściany. W chwili, gdy giną nam z oczu wśród skał, z niecierpliwością czekamy na meldunek z wierzchołka. Cały czas mamy włączony radiotelefon. O godzinie czternastej piętnaście cała polska wyprawa na Kangczendzongę przeżywa wielkie chwile. Najpierw słuchamy ich rozmów ze szczytu z bazą, potem sami składamy gratulacje. Cieszymy się z ich wielkiego sukcesu, który jest sukcesem całej naszej wyprawy, a także nowym, wspaniałym polskim rekordem wysokości w najwyższych górach Ziemi, tym cenniejszym, że osiągniętym na dziewiczym i tak trudnym wierzchołku. Podczas ich zejścia pogoda psuje się nagle. Z dołu nadciąga burza śnieżna z wyładowaniami. Wiatr targa nasze namioty i zasypuje je śniegiem. Skuleni w śpiworach bawimy się o Genka i Wojtka. Wreszcie po dwóch godzinach nawałnica mija i widzimy ich dochodzących do obozu IV, o czym zaraz powiadamy bazę. Jest godzina osiemnasta, gdy Genek przez radiotelefon opowiada o przeżyciach w czasie zejścia. Oba narzekają na odmrożone stopy, które teraz intensywnie rozcierają w namiocie. Jutro chcą zejść do bazy.

Od kilkunastu minut stoję przed namiotami obozu III z lornetką i aparatem fotograficznym. Obserwuję kolejne fazy zachodu słońca, które minęło już smukłe sylwetki Jannu i White Wave i zbliża się wolno do postrzępionej linii z lekką zamgioną horyzontu. Tam w dali, wypiętrzają się najwyższe szczyty Himalajów — Mount Everest, Lhotse i Makalu — morzenia każdego alpinisty. Tylko Kangczendzonga dorównuje im wysokością. Przyznaję, że nigdy przedtem nie myślałem o wyprawie na ten szczyt, kierując wyobraźnię i wysiłki ku górą, których sylwetki oglądane choćby tylko w albumach budzą zachwyt i przyspieszają bicie serca. K2, Mount Everest, Makalu i Dhaulagiri to najpiękniejsze z najwyższych. Znalazłem się tu przypadkowo, ale teraz gdy poznałem z bliska ten połączny i rozległy maszy, przytłaczający niedostępnością swych ścian, bronionych przez lodowe

i śnieżne lawiny, jestem zachwycony pięknem i potęgą tej góry. Szczególnie dziś, po tak długo oczekiwanym przez nas sukcesie wyprawy. Nad Ramser dolinę wypełnia coraz bardziej pomarańczowe morze mgieł, z wypiętrzonymi na kilka kilometrów w górę cumulonimbusami. Tam w dole jeszcze szaleje burza. Skośne promienie słońca docierają do nas ponad koronkową linią grani łączącej Yalung Kang i White Wave. Robi się zimno, bo od dołu wiatr miacie śniegiem. Mam wrażenie, że całe zbocze przesuwają się w górę, a namioty wraz ze mną płyną pod prąd. Proszę Waldka aby podał mi puchową kurtkę i czekam aż czerwona kula słońca skryje się za Everest. Jutro też będzie pięknie, ale na pewno inaczej.

Jako drugi zespół szturmowy mamy do wyboru trzy możliwości: powtórzyć wejście na Kangczendzongę Południową (8490 m) co sugeruje Walddek, tłumacząc że wszystko jest przygotowane i teren ubezpieczony; próbować wejść na Kangczendzongę Główną (8585 m), trzeci szczyt świata, na co namawia nas Marek Małatyński; zaatakować nie zdobytą jeszcze Kangczendzongę Środkową (8496 m), na co ja mam największą ochotę.

Podczas burzliwej dyskusji decydujemy z Waldkiem, że jednak spróbujemy zmierzyć się ze Środkową. Łączymy się z bazą i uzgadniamy decyzję z Piotrem, który akceptuje nasze plany mówiąc, że takiej właśnie inicjatywy od nas oczekiwał. Jest nas siedmiu w obozie III i wszyscy chcą uczestniczyć w wejściu. Z pomocą Piotra uzgadniamy, że w pierwszym ataku udział wezmą — Olech, Brański i Heinrich, a w drugim trzech z pozostałej czwórki. Takie rozwiązanie dyktują nasze zapasy butli tlenowych.

20 maja wieje silny wiatr, przeczekujemy więc w obozie III. Tu przed południem awaryjnie witalmy Genka i Wojtka schodzących z obozu IV do bazy. Są szczęśliwi, narzekają tylko na odmrożone stopy. Proszą nas o rozważę i właściwe decyzje, gdyby pogoda nie uległa poprawie, aby nie zaprzepaścić tego, co już zdobyła wyprawa.

Rano 21 maja zachorował Janek Serafin. Do obozu II schodzi z nim Marek Rogalski. Pozostała piątka rusza w kierunku hiszpańskiego obozu IV, z zamiarem przeniesienia namiotu o 300—400 metrów wyżej. Zabieramy żywność, butle z tlenem, zbiorniczki z butanem, materace, spiwary i linę. Teren jest technicznie łatwy, idziemy więc nie związani, każdy własnym tempem. Pomagają Markowie — Janas i Małatyński.

Z dala, pod fogodnym serakiem, widać mały granatowy namiotek hiszpański, w którym ma być kilka butli z tlenem, w tym trzy pełne. Na miejscu jesteśmy o godzinie czternastej. Postanawiamy zostać tu na noc. Walddek z Wojtkiem odkopują namiot spod śniegu i przygotowują biwak, ja z Markami idę założyć depozyt tlenowy. W przewężeniu kuluaru, 200 metrów nad obozem, zostawiamy trzy butle. Markowie zbiegają w dół do obozu III, aby po jednodniowym odpoczynku spróbować wejść na Środkową, niezależnie od naszej próby. W trzech z Waldkiem i Wojtkiem zostajemy na noc w obozie hiszpańskim. Do szczytu mamy jeszcze 1000 metrów wysokości, więc postanawiamy wstać w nocy. Wieczorem gotujemy i dłużej nie możemy zasnąć, choć korzystamy z tlenu. Namiot jest niewygodny i źle rozstawiony, część podłogi luźno zwisa na stoku poza wyrębaną w lodzie

platformę, wiszę więc nad przepaścią w cienkiej tylko tkaninie. Kiedy o drugiej w nocy 22 maja rozchyliłem otwór i wyjrzałem na zewnątrz, obóz szczelnie okryła mgła i prószył drobny, zmrożony śnieg. Odizolowanym od światła trudno sobie wyobrazić, że mamy dziś podjąć próbę wejścia na najwyższy z niezdobytch szczytów. Nie rezygnujemy jednak z przygotowań do szybkiego opuszczenia namiotu. Po wypiciu kubka gorącego kakao przygotowanego przez Wojtkę ze śniegu, mleka i czekolady, wystawiam głowę z namiotu, w którym zapanowała nagle jasność. Nad nami świeci dziwnie żółtawy księżyc w pełni, a tuż poniżej rozpościera się gęste, skłębione morze mgieł. Wychodzę na zewnątrz. Pod stopami skrzypi zmrożony śnieg. Trzymając się wbitej w zbocze „szabli” stoję pod rozgwieżdżonym himalajskim niebem w idealnej ciszy, oczarowany widokiem białych olbrzymów, wylaniających się z chmur, jak z dna oceanu. Tuż blisko Talungu i Kabru, iglica Jannu, jak samotna fregata na wzburzonych falach, a w dali Makalu, Mount Everest i Lhotse. Dopiero widok bliskich i wyraźnie, jak w dzień rysujących się wierzchołków Kangczendzongi, mobilizuje mnie ponownie do szybkiego działania i uświadomienia sobie, że jestem alpinistą a nie żeglarzem. Z trudem zakładam zmarzniętymi rękami raki, mam również trudności z aparaturą, gdyż zaciął się zawór przepływu tlenu. Waldek podaje mi z namiotu reduktor francuski po Hiszpanach, który, na moje szczęście odnalazł wśród śpiworów. O wpół do czwartej jestem gotowy do drogi. Waldek i Wojtek jeszcze nie opuszczają namiotu. Zabrałem dwie butle tlenu, linę, hiszpańską szablę śnieżną, trochę żywności i rzuciłem zdawkowo:

— Cześć! Dogonicie mnie łatwo!

Ruszyłem kulaorem w górę, żeby wytyczyć ślad i nie tracić czasu. Ta piękna księżycowa noc budzi we mnie coraz większy zachwyt. Idzie mi się dobrze, mimo że wczorajsze ślady zostały zawiane. Opanowuje mnie jakieś radosne uczucie, bo zdaję sobie nagle sprawę, że mamy dziś szansę wejść na ten wysoki szczyt. Idę jak w transie. Nad przełęczą Talung niebo powoli bładnie. Na stoku w dale pojawia się Waldek i wolno zbliża do mnie. Wojtkę jeszcze nie widać, ma trudności z aparatem tlenowym i wychodzi ostatni. Po dojściu do pozostawionego wczoraj depozytu zmieniam butle. Zabieram pełną, a zostawiam częściowo zużytą, która służyła mi również do spania w obozie IV. Zdejmuję i zostawiam kurtkę puchową. Tutaj dogania mnie Waldek. Robi się jasno. Rozpoczyna się uparta walka z nachylnym kulaorem. Torujemy szlak na zmianę. Szczyty lśnią w porannym słońcu, my jednak ciągle znajdujemy się w cieniu i marzną nam nogi. Wojtek powoli zmniejsza odległość, która nas dzieli. Zrywa się wiatr i zaczyna zacinać śnieg. Granie dymią, a w dale widać kolorowe namioty obozu III, leżące na dolnej płaszczyźnie tarasu. Idziemy bez odpoczynku wiedząc, że musimy się spieszyć, jeżeli chcemy wykorzystać szansę daną nam przez los. Wojtek narzeka na reduktor tlenowy, z którym ma ciągłe kłopoty, jednak daje kilka długich zmian w tarowaniu. Jestem zadowolony, że współpraca w zespole układa się tak dobrze, bo to daje szansę zwycięstwa. Wychodząc na prowadzenie wyznaczam sobie odcinki w terenie

I staram się je przejść możliwie szybko, potem zmęczony ustępuję miejsca Waldkowi. Po jego śladach idzie się lekko, jest czas na uspokojenie oddechu i rozkolatanego serca, a po kilku metrach skronie przestają pulsować. Zmarznięte nogi próbują rozgrzewać uderzając czubkami butów w śnieżny stok, jednak niewiele to pomaga. Idąc rozmyślałam o kolegach w obozie III, którzy dziś wypoczywają i o bazie zasnutą teraz chmurami, odległej i nie-realnej. Słońce powoli zbliża się do nas, oświetla złoże już skały i śniegi głównego wierzchołka. Tylko wiatr nie ustaje i wieje z coraz większą siłą.

Okolo godziny jedenastej dochodzimy już w słońcu do górnego przeżęcia kuluaru. Tu kończy mi się tlen w pierwszej butli, więc zakładam nową. Plecak staje się od razu lżejszy o 5 kilogramów. Zatrzymujemy się na pierwszy krótki odpoczynek, stojąc na płytowych skałach wystających ze śniegu. Przeglądamy teren, szukając możliwej do przejścia drogi. Na prawo widać system śnieżnych zachodów, biegnący w kierunku ostrza filara spadającego z Kangczendzongi Środkowej. Mamy nadzieję, że osiągniemy go w niedużej odległości od szczytu. Intuicyjnie wyczuwamy, że Hiszpania popełnił błąd idąc kuluarem wyżej w kierunku przełęczy, a potem pod jego spiętrzeniem wchodząc w skały. Po zdjęciu raków natrafili na duże trudności techniczne. Nasz wybór drogi okazał się trafny, lecz do dziś nie wiem, ile w tym naszej zasługi, a ile zwykłego szczęścia.

Wojtek rozdoje pigułki przeciw odmrożeniom. Ruszamy. Teren „puszcza”, idziemy ciągle nie związani, przez śnieg. Pod stromymi ścianami osiągamy 30-metrowy próg o dobrze urzeźbionej skale. Wspinamy się wolno i ostrożnie. Pod nami setki metrów lodowo-skalnego terenu, spadającego gdzieś nisko w śniegi kuluaru. Wiemy, że nie możemy popełnić błędu. Wcześniej ustaliliśmy, że jeżeli któryś z nas poczuje się niepewnie, natychmiast wiążemy się liną.

Potem stromym śnieżnym polem osiągamy małą grańkę, podprowadzającą pod następny próg skalny. I teraz niespodziewanie na prowadzenie w tym skomplikowanym trudnym terenie wychodzi Wojtek, a zachrypnięty Waldek szeplem prosi o pomoc przy zmianie zużytej butli tlenowej. Idziemy za Wojtkiem po płytowych skałach, aż do następnego rozległego pola śnieżnego, nad którym z prawej strony sterczy skalna turnia. Obserwując główny wierzchołek stwierdzamy, że jesteśmy już w partiach podszczytowych. Wchodzimy w śnieżny żlebik z luźnymi kamieniami i podchodzimy nim pod wspomnianą turnię. Jest piękna słoneczna pogoda, wiatr ucichł.

Wojtek zatrzymuje się pod ostatnim już skalnym progiem. Stoi na śnieżnej grani i prosi o linę, bo próg jest eksponowany. Wreszcie wiążemy się. Mam trochę czasu asekurując Wojtkę, a potem Waldka, robię więc zdjęcie głównego wierzchołka Kangczendzongi, Yalung Kangu, a także grani nad nami i wspinających się kolegów. Zmieniam film w aparacie, a przy okazji wyjmuję z plecaka biało-czerwony proporczyk i proporczyk nepalski. Przez skalne bloki dochodzę do stanowiska. Teraz idziemy jeszcze 15—20 metrów śnieżno-skalnym terenem do rozległego plateau na grani Środkowej. Nad nami wypiętrza się już tylko śnieżny szczyłek o wysokości 8—10

metrów. Tu zatrzymujemy się na moment, chcąc przedłużyć tę uroczystą chwilę.

Pierwszy na szczyt wchodzi Waldek z plecakiem i w masce tlenowej. Dla niego to już dziesiąty szczyt powyżej 7000 metrów — pod tym względem jest bezkonkurencyjny wśród polskich alpinistów. Obaj z Wojtkiem zostawiamy plecaki i maski tlenowe, pokonując ostatecznie metry bez obciążenia. Jest godzina czternasta piętnaście. Wpalujemy się w biało-czerwony proporczyk, który jeszcze nigdy nie powiewał tak wysoko i proporczyk Nepalu również budzący ciepłe uczucia, zwłaszcza w sercach alpinistów. Wzajemne gratulacje. Chwile wielkie i niezapomniane, ogromna radość podświadomie tłumiona obawą przed ryzykownym zejściem.

Włączam radiotelefon, pozdrawiam ze szczytu kolegów w niższych obozach i w bazie. To dzięki ich wysiłkowi przeżywamy te wzniosłe chwile. Pozdrawiam Piotra, który na zawsze zapisał się w historii zdobywania tej wielkiej góry. Z dołu płyną serdeczne słowa skierowane do nas. Jurek Wesolowski ponagla, żeby się spieszyć, gdyż w bazie szaleje burza z wyładowaniami i pada śnieg. Ale tu na wysokości 8496 metrów panuje piękna, bezwietrzna pogoda. W dale rozpościera się jak akiem sięgnąć białe morze mgieł.

Po północnej stronie szczyty zakryte są mgłami, które podchodzą pod samą grań. Na szczęście Kangczendzonga Główna, Zachodnia, Yalung Kang i Południowa, plawią się w słońcu. Widać też północne strome zbocza, ginące poniżej w chmurach. Grań jest przeważnie śnieżna z potężnymi nawisami, a jasnożółte skały pięknie harmonizują z granatami nieba i bielą śniegów. W dale z chmur wystaje iglica Jannu, a z lewej widać bliski Talung i Kabru, z ogromnym tarasem śnieżnym na grani. Makalu, Lhotse i Mount Everest zakryte są mgłami. Robimy pamiątkowe zdjęcia dokumentujące nasz sukces. Przed zejściem myślę o zbliżającym się spotkaniu z żoną, która ma przyjechać do Kathmandu, o bliskich, i tych wszystkich w kraju, którzy szczerze cieszyć się będą sukcesami naszej wyprawy.

Przed godziną piętnastą rozpoczynamy zejście. Spod szczytu zabieramy z Waldkiem kilka małych kamyczków, które kiedyś będą najmilszą pamiątką z Nepalu. Schodzę ostatecznie, asekurując kolegów na skalnych progach przy pomocy śnieżnej szabli i linki poręczowej. Potem uważnie, bez asekuracji, idę przez skalne progi w dół, czując radość z odniesionego sukcesu i obawę przed popełnieniem nieodwracalnego błędu, który mógłby przekreślić wszystko. Drogę powrotną wyznaczają nasze ślady, których ściśle się trzymamy. Na kolejnym skalnym spiętrzeniu asekuruję Waldka, a potem Wojtkę, który jakby osłabł i zwolnił tempo. Pytam o przyczynę — mówi, że okulary zachodzą mu mgłą. Zatrzymuje się pod progiem i poprawia raki. Ponieważ skały są strome, wbijam w śnieg szablę i schodzę po linie poręczowej mijając Wojtkę, a potem Waldka. Przez skały nad kuluarem zakładam linę z bloku, który akurat wystaje nad śniegi i schodzę w dół na zachód, biegnący w stronę progu w kuluarze, gdzie odpoczywaliśmy idąc w górę. Linę zostawiam chłopakom. Tu, na wysokości 8200 metrów, kończy się tlen w mojej butli. Zdejmuję maskę i chowam do plecaka. Czuję zmęczenie.

Spoglądam w górę, Wojtek z Waldkiem schodzą razem. Wiem, że muszę się spieszyć i szybko tracić wysokość, zakładając ślad w kuluarze aż do obozu, bo z dołu nadciągają ciemne chmury.

Dopiero w bazie dowiem się, że Wojtkowi tien skończył się znacznie wyżej, na wysokości 8300 metrów i dlatego schodził tak wolno. W pewnym momencie poślknął się na stromym polu śnieżnym i zaczął się zsuwać w dół, w porę jednak zdążył wyhamować czekaniem.

Schodzę teraz szerokim śnieżnym kulwarem po mniej stromym już śniegu, raz kopnym raz znowu nawianym i twardym. Muszę bardzo uważać, żeby się nie potknąć. Dopiero teraz mogę ocenić, jak długi jest kuluar. Z dołu podchodzą szare mgły, ale Taras ciągle widać. Powoli gaśnie ten piękny dla nas dzień. Nie będzie dziś, jak zwykle, budzącego zachwyty zachodu słońca. Około osiemnastej dochodzę do depozytu nad IV obozem hiszpańskim. Zabieram zostawioną tu rano kurtkę puchową i butle z resztkami tlenu. Kilkaśmet metrów wyżej widzę dwa małe sylwetki schodzących kolegów. Ruszam w kierunku obozu. Przy rozpoczynającym się zmiarczu wesołguję się do namiotu i w ubraniu wchodzę do śpiwora. Zaczynam gotowanie. W chwili, gdy nadchodzi Wojtek z Waldkiem, mogę ich poczęstować kubkiem gorącego płynu. Przez cały dzień oprócz kilku cukierków nic nie jedliśmy. Dopiero teraz następuje odprężenie — czujemy ogromne zmęczenie i głód. Wojtek przejmuje gotowanie. Łączymy się z bazą i powiadamy Piotra, że wszyscy jesteśmy w obozie. Znowu gratulacje i ogólna radość. Z obozu III Małatyński i Janas wypytują o szczegóły drogi. Teraz na nich kolej, chcą powtórzyć wejście na Kangczendzonę Środkową.

Przez mgły z trudem przebija się poświata księżycy, ale śnieg w nocy nie pada. Mimo ogromnego zmęczenia nie mogę zasnąć. Cieszę się, że wszedłem na szczyt w towarzystwie Waldka, który chyba najbardziej z całej wyprawy zasłużył na tę ogromną satysfakcję, którą można osiągnąć wchodząc na najwyższy z niezdobytych szczytów świata. A Wojtek, mimo że doskoczył do naszego zespołu w ostatniej chwili, okazał się świetnym i bardzo przydatnym partnerem. Zadziwił nas zwłaszcza prowadząc w podszczytowych partiach ściany.

Z niecierpliwością czekam na świt. Rozpaczynam pakowanie rzeczy, gdy robi się szaro. Zwracam uwagę, aby zostawić wszystko, co może się przydać kolegom. W dół zabieramy po dwie puste butle tlenowe. Przed piątą opuszczamy niewygodny namiot i rozpoczynamy zejście po linie poręczowej, zwisającej luźno spod namiotu. Schodzę pierwszy. Omijam przez wąski mostek szczelinę brzoinę i dalej mniej stromymi już stokami schodzę na płaskie śniegi Tarasu. Tu czekając na Waldka i Wojtkę oglądam ogromny głaz, który spadając z góry naznaczył na zboczu głęboki ślad. Spadał na szczęście kilkadziesiąt metrów od naszego namiotu.

W dali nad chmur dumnie góruje wielka trójca — Makalu, Lhoise i Mount Everest — oświetlona porannym słońcem, a w dół, już blisko, małe namiaciki obozu III pogrążone w cieniu i ciszy, bo dziś wiatr nie zakłóca spokoju w królestwie Kangczendzongi. Odpoczywając patrzymy na zdobyte przez wyprawę szczyty i dyskutujemy nad możliwością poprawo-

dzenia nowej drogi na Kangczendzongę Główną, na wprost, ściąną z obozu IV. Ślad Kangczendzonga Środkowa wygląda imponująco, mniej strome śniegi są niewidoczne, więc kopuła wydaje się całkowicie skalna, nie widać również zachodu, którym wczoraj doszliśmy w partię podszczytowe.

Po linach poręczowych przechodzimy długi trawers oraz system szczelin i seraków, a potem już przez łatwe śniegi docieramy do obozu. Koledzy śpią jeszcze w namiotach i są kompletnie zaskoczeni naszym wczesnym zejściem. Na tradycyjną herbatkę trzeba tym razem poczekać. Wypytyują o szczegóły drogi, samopoczucie, wyposażenie IV obozu Hiszpanów. Jest zimno! Dopiero poranne słońce, które zaczyna oświetlać stoki i kubek herbaty rozgrzewają nas na dobre. Dowiadujemy się, że za tydzień przyjdą do bazy tragarze. Po raz pierwszy zdałem sobie w pełni sprawę, że wyprawa dobiega końca. Raz jeszcze potrzymamy na trzeci szczyt światła, na ogromną skalną „podkową” z jego lewej strony, na dobrze widoczną turnię w grani, która zamyka dostęp do szczytu Kangczendzongi.

Koło godziny dziewiątej żegnamy Marków — Janasa i Małatyńskiego oraz Benka, Rogala, Szerpów i ruszamy w dół, dobrze nam znanym i ubezpieczonym linami terenem, który kiedyś budził w nas niepokój, a dziś wydaje się dziecinnie łatwy i bezpieczny. Omijamy seraki oraz szczeliny po dobrze widocznych śladach, schodząc w kierunku śnieżnej doliny pod górnym lodospadem. Po drodze mijamy dwóch Szerpów idących z ładunkami w górę i na chwilę zatrzymujemy się w obozie II, zabierając z namiotów cenny, a niepotrzebny już sprzęt. Jest południe, cisza i upał, a przed nami strome podejście na grani nad obozem I. Zmęczeni pniami się po linach. Dokuczają ciężkie plecaki, ale o piętnastej odpoczywamy już w obozie. W dali na lodowcu, widać pomarańczowe namioty naszej bazy, leżące 1000 metrów niżej. Zejście przez dolny lodospad ułatwiają liny wyznaczające drogę. Potem, już w dole, zapadamy się w głębokim mokrym śniegu idąc związani i klucząc wśród szczelin. O siedemnastej docieramy do bazy. Waldek przyspiesza kroku, bo koło kuchennego namiotu zobaczył swoją Kanczi. Koledzy zgotowali nam serdeczne przyjęcie, a opowiadaniem nie ma końca.

Siedząc pod folią w bazowej kuchni i popijając gorące napoje przygotowane przez niezawodnych Szerpów, odnoszę wrażenie jakby nasza wielka przygoda była jedynie piękny, kolorowy snem. Zbyt wielkie zmęczenie nie pozwala docenić wartości naszych sukcesów. Z satysfakcją jednak patrzą na Piotra, który zwykle zamknięty w sobie, nieskory do ukazywania uczuć, tym razem nie jest w stanie ukryć wielkiego zadowolenia. Dla niego to już trzeci wierzchołek masywu Kangczendzongi zdobyty przez wyprawy, którymi kierował. Śmiało można powiedzieć, że Kangczendzonga stała się polską górą.

* * *

Wypoczywając w bazie zaglądaliśmy czasami do archiwum wyprawy. Przesłuchując taśmy z utwalonymi rozmowami opracowywaliśmy dane do kalendarium wyprawy. Oto skrót zapisu rozmów prowadzonych podczas

szturmu na Kangczendzongę Środkową, przygotowany przez Jerzego Wesolowskiego.

„22 maja godziny mijają bardzo walno — dwunasta, pierwsza, druga, a Góra wciąż milczy. Niepokoiśmy się o chłopców. Nareszcie ich słyszymy. Przy radiotelefonie Zyga.

— Skąd nadajecie? — pyta Piotr. — Odbiór.

— Z wierzchołka, mówię ze szczytu! Jesteśmy w dobrej formie chyba wszystko będzie dobrze.

— Dziękuję za sukces! Zrobiliście wielką rzecz! Nie siedźcie tam długo i uważajcie w zejściu, bo tutaj burza jakiej dotąd nie było. Zróbcie zdjęcia i schodźcie. Odbiór.

Kończę ustawianie magnetofonu i mówię do mikrofonu:

— Słuchaj, halo Zyga, halo Zyga. Gratulacje! Gratulacje kochany!

— Wierzyliśmy, że dojdziemy, cholernie ciężko było, pogodę mamy bardzo dobrą na razie. Zrobimy parę zdjęć i schodzimy w dół, schodzimy w dół. Odbiór.

— Jak się czujecie wszyscy, opowiedz trochę — to pierwsza rzecz, a druga — kochany, jaki to jest stosunek Środkowej do Południowej, który wierzchołek według was jest wyższy? Odbiór.

— Trudno powiedzieć, jednakowe. Tylko Kangczendzonga Główna wyższa,

— Rozumiem, rozumiem. Jak się czuje Waldek, jak się czuje Waldek i Wojtek. Odbiór.

— Zmęczeni, ale zadowoleni, zadowoleni. Odbiór.

— No to wspaniale. Róbcie zdjęcia i spruwajcie bardzo szybko, bo mówię wam, że tutaj jest naprawdę fatalna pogoda. Powiedzcie jeszcze, co tam widać? Odbiór.

— Wiesz widać tutaj z góry te najbliższe wierzchołki w grani Kangczendzongi. Wyraźnie ten szczył góruje. Nie ma wątpliwości, że Kangczendzonga Środkowa jest najwyższa. Odbiór.

— Rozumiem, a słuchaj, jakie było wejście, jakżeście wyszli z kuluaru, jak tam skalne trudności? Odbiór.

— Szliśmy cały czas bez asekuracji, ale francowato miejscami było. Odbiór.

Wojtek przejmuje radiotelefon i mówi:

— Nie wyobrażam sobie, cholera, drugiej nocy w takim namiocie. Odbiór.

— A czy wy wiecie, że powtórzyliście sukces, o tej samej porze, bo w tej chwili właśnie jest godzina druga piętnaście. O tej samej godzinie łączyliśmy się dziewiętnastego z Południową, taki zbieg okoliczności.

— A jak z tlenem? — powtarzam za Piotrem — Jak jest z tlenem? Odbiór.

— No ja bym w ogóle nie doszedł, bo najpierw nie mogłem dokręcić reduktora polskiego i musiałem ich gonić, a potem jak mi się udało go odkręcić to znowu ponad 5 litrów na minutę płynęło, to znaczy miałem

bardzo dobrą formę dzięki temu, ale cholera, mam teraz tylko 50 atmosfer, jakoś zejść. Odbiór.

— A ile ma atmosfer Zyga i Waldek? Odbiór.

— Oni mają jeszcze całe butle, bo po dwie butle mieliśmy z depozytu. Jakież 200 metrów nad obozem brali nowe butle. Odbiór.

— Uważnie schodźcie, bo prawdopodobnie w dole będziecie mieli świeży śnieg. Z dołu podchodzi mgła. Do usłyszenia o szóstej w którymś z obozów. Daj Waldka, niech powie choć parę słów tutaj, bo przecież nagrywamy to wszystko, daj Waldka. Odbiór.

— Poszedł teraz na jakiś pipek taki śnieżny, który tutaj prawdopodobnie jest kulminacją, tak że chyba jak zejdziesz, zresztą on ma bardzo zepsute gardło. Powiedz nam jak z Serafinem, czy zszedł. Odbiór.

— Zszedł Serafin, wszystko dobrze. Pozdrawiamy, gratulujemy i czekamy tu na dole. Odbiór.

— Okey, pozdrawiamy wszystkich, uważamy, że w imieniu wszystkich to zrobiliśmy, bo na pewno wiele osób mogłoby wejść tutaj i może jeszcze wejdzia, życzymy im tego. Cześć!"

Użyto nam wyraźnie po tej rozmowie, a więc drugi wielki sukces. Jeszcze się nie zdarzyło, żeby w jednej wyprawie zakosić dwa odrębne szczyty. Teraz tylko zejście. Czekamy na łączność. O godzinie osiemnastej Rogal podaje z obozu III, że przed godziną widzieli, jak chłopcy dochodzili do obozu IV, a do tej pory nie zgłosili się na łączność. Odezwali się dopiero o godzinie dwudziestej.

23 maja o godzinie siedemnastej piętnaście witamy ich w bazie. Pocałunki i uściski. Waldek ledwo mówi. Wszyscy szczęśliwi. I znów uroczysta kolacja, wyciągam wszystkie przysmaki, które jeszcze zostały.

* * *

Wyprawa dobiega końca. Równoległe z drugą próbą ataku na Środkową, podjętą przez dwóch Marków — Janasą i Malatyńskiego — z obozu do bazy znoszona ekwipunek i żywność. Po trzech dniach wypoczynku ja również zgłaszam się do tej akcji. Jeszcze raz wyruszam w górę, aż na Wielki Taras, do obozu III, aby w towarzystwie Józka Olszewskiego, Sonama i Lhakpy znieść drogocenny sprzęt, który pozostał w namiotach po zejściu ostatniego zespołu szturmowego. Raz jeszcze miałem okazję zbliżyć się do zdobytych przez nas szczytów i przez dwa dni przebywać w tej pięknej, śnieżno-lodowej krainie.

WOJCIECH BRANSKI

GÓRY ZA NAMI I GÓRY PRZED NAMI

Padło, więc tamaliśmy się — wyjść, czy nie. Okazało się, że niepogoda jest ponad i pod nami, a tutaj jest bardzo pięknie, wręcz gorąco. Tu się czuje wszechświat, naprężony grzbiet wszechświata. Człowiek tutaj jest taki mały i niepotrzebny, ale wierzchołek jest fantastyczny — bardzo rozczłonkowany, nawet są szczeliny, kociołki takie, w ogóle fantastycznie to wygląda. Natomiast Kangczendzonga Południowa ma bardzo piękną przewieszoną grań, bardzo ostrą. Odbić.

Odtwarzając z taśmy zapisy rozmów z czasów akcji szturmowej długo zastanawiałem się, skąd wzięły mi się wtedy tamte słowa. Górnołatne? Pretensjonalne? Może godne tamtej chwili?

Góry za nami i góry przed nami,
Światła z ciemnością zmaganie milczące,
Tuż, tuż jest wszechświat z naprężonym grzbietem,
A my tak drobni między powiekami
I serca zawsze pod skórą krwawiące.

Jules Supperville. To on jest temu winien, że patrząc na rozpościerającą się pod nogami nieprzeniknioną warstwę chmur, oświetlonych od gór niższym nie przesłanionymi promieniami słońca i wyrastające wyżej samo tylko o wierzchołki najwyższych gór świata, doświadczyłem tego, co poeta dostrzeże oczyma wyobraźni.

* * *

Noc z 21 na 22 maja to koszmar! Poprzedniego wieczoru do dziesiątej gotowałem najróżniejsze napoje przeznaczone na rano, które jednak natychmiast wypiliśmy duszkiem. Hiszpanie swój dwuosobowy namiot rozstawili fatalnie. Część podłogi nie mieściła się na wyrąbanej w stromym

śniegu platformie i zwisała wprost ku przepaści, zaś pozostała tworzyła doły i wypukłości, w które w żaden sposób nie można się było wpasować. W najgorszej sytuacji znajduje się Zyga, który umieszcza się od zewnętrznej strony, wisząc jak w hamaku.

— Nic się nie przejmuj, stary — mówi — przecież płótno ma swą wytrzymałość. Najważniejsze, żebyśmy się zmobilizowali i wyszli rano. O czwartej rano! W przeciwnym razie...!

Trochę drzemiąc i mającąc, z maskami na twarzach, przy niewielkim przepływie tlenu, rzędu pół litra na minutę przetrwaliśmy do trzeciej rano.

Co z tym regulatorem? Nie daje się wkręcić do końca. Próbuje jeszcze raz i jeszcze raz, ale bez rezultatu. Popłoch i rozpacz. Ściągam rękawice, ale gołe ręce marzną mi po chwili do bólu, tracę czucie w palcach. Co za pech! Taka szansa i ten cholerny reduktor! Gorączkowo myślę co robić. Wracam do namiotu. Przychodzi mi do głowy pomysł, żeby rozgrzać zawór butli nad palnikiem, bo jeśli jest tam lód blokujący gwint, to powinien się wytopić i może uda mi się wkręcić regulator. Zwycięstwo! Mogę iść w górę. Zakładam maskę i staram się wyregulować oddech. Nigdy przedtem nie chodziłem w masce, więc muszę opanować tę sztukę. Będę gonić kolegów. Nie są daleko, ale na tej wysokości 100 metrów to bardzo długi dystans. Muszę się spieszyć.

Na szczęście około 200 metrów wyżej, poprzedniego dnia, z pomocą kolegów zamierzających szturmować wierzchołek zaraz po nas, wyniesione zostały trzy pełne butle tlenu. Dzięki temu depozytowi mamy szansę osiągnięcia wierzchołka i zejścia z tlenem. Zyga i Waldok wymieniają już swoje niepełne butle i powoli opuszczają miejsce depozytu. Nie mogę mieć pretensji, że na mnie nie czekają, chodzi przecież o to, żeby nie zaprzepaścić wielkiej szansy. Trochę nadrabiam opóźnienie, które mam w stosunku do nich, a jeśli uda mi się teraz sprawnie wymienić butlę, to ciągle mam szansę do nich dojechać. Niestety pech mnie nie opuszcza! Tym razem regulator nie daje się w ogóle wkręcić z butli. Po kilku nieudanych próbach postanawiam kontynuować drogę. Może po prostu pomogę kolegom w torowaniu, a kiedy zabraknie mi tlenu, wycofam się. A może stanie się cud i uda mi się odkręcić ten cholerny regulator.

W desperacji przyspieszam kroku i dochodzę do Waldka, który wydaje się przeżywać jakiś kryzys. Widząc mnie zaczyna mi coś pokazywać na migi. Chce, żebym podregulował mu przepływ tlenu. Zyga zatrzymuje się, dając mi szansę dojeżdżenia do niego. Wychodzę na torowanie. Idziemy nie związani. Jakakolwiek asekuracja w terenie, jak ten, jest całkowicie iluzoryczna. Upadek jednego mógłby pociągnąć utratę równowagi innych, trzeba więc niezmiernie uważać. Śnieg trzyma dość dobrze, nie zapadamy się głębiej niż do połowy łydki, czasem po kolana. Prowadzący trzyma w jednym ręku szablę śnieżną — zaostrzony z jednego końca aluminiowy kątownik, a w drugim czekan. Zamach i wbicie szabli w śnieg, krok lewą nogą do góry, podciągnięcie się, zamach drugą ręką, wbicie czekana, uderzenie w śnieg prawą nogą i znów to samo od początku... Cały czas idziemy w cieniu, mija już pięta godzina podejścia. Słońce ślizga się po graniach, ale

w mrok kuluaru jeszcze nie dociera. Powoli tracę czucie palców prawej i lewej nogi, a po jakimś czasie przychodzi kolej na pięty. Niedobrze! Czy ten kuluar nigdy się nie skończy? Kiedyż dotrze tu słońce? Postój zrobimy chyba przy widocznych z dołu skałkach. Może da się na nich usiąść?

Wreszcie docierają do nas pierwsze nieśmiałe promienie słońca. Czas się zatrzymać i znaleźć wyjście z kuluaru. Nie będziemy przecież iść do grani, lecz trzeba włączyć się w kopułę szczyłową. Skałki okazują się tak strome, jak lód. Wykopuję małą platformkę i zdejmuję plecak. Wyciągam zeń pastylki przeciwmroźniowe — nikotol — każdy dostaje po dwie. Ustawiam teraz butlę na słońcu i sprawdzam czy da się wykręcić regulator. Odkręca się! Gdyby nie maska, to krzychałbym ze szczęścia. A więc znowu mam szansę!

Wyjmuję z plecaka prawie już pustą butlę, wykręcam regulator, nakręcam go na pełną butlę niesioną z dołu. Wszystko idzie dobrze! Ale co to za podejrzany syk? Sprawdzam czy nie ma jakiejś nieszczelności. Wszystko jest w porządku. Rzut oka na wskaźnik regulatora. Wskazówka opiera się o ograniczający jej wychylenie bolec, wskazując 5 litrów na minutę. Regulator nie działa i tlen wycieka z szybkością większą niż wskazanie. Balon wyrównawczy przy masce wyduł się niebezpiecznie. Przy takim wypływie tlen wyczerpie mi się bardzo szybko. Nic już jednak nie wstrzyma mnie przed dalszą drogą. Najwyżej będę schodzić bez tlenu! Szybko, szybko do przodu, nie traćmy czasu!

Zaczynają się śnieżne progi, z wierzchu nieco załodzone. Muszę diabelnie uważać, żeby się nie pośliznąć, nie popełnić jakiegoś błędu. Wydaje mi się ciągle, że już za chwilę będę na grani, ale gdy wchodzę na krawędź śnieżnej przemy, okazuje się, że tworzy ona tylko zwieńczenie bocznej grzędy. Wokół mnie wyrastają skalne turnie o żółtawym odcieniu, lecz gdy zbliżam się do nich, stwierdzam, że to na pewno nie one tworzą szczyt. Wreszcie możliwości manewrowania stają się coraz mniejsze. Wyrasta nade mną skalne spiętrzenie, jakby z wierzchu przykryte śnieżną czapą, chyba trzeba iść tędy, ale teren jest pierośko ekspozycyjny.

Po obu stronach śnieżnego konia, na którym stoję, przepaść taka, że oko nie ma na czym zatrzymać. Decyduję się czekać na kolegów. Wkrótce dochodzą do mnie. Uchylam maskę i pytam Zyga czy dobrze szukałem drogi. Zyga potwierdza, że tak i wyciąga z plecaka cienką linkę. Robię pętlę, wpinam do niej karabinek przytroczony do mojej uprzęży i bez zwłoki zaczynam się wspinać. Pokonuję rodzaj przewieszki i wchodzę na skraj śnieżnego pola. Mam dobre stanowisko asekuracyjne, ściągam więc kolegów i po paru krokach dalej wiem, że jesteśmy już na szczycie. Tworzy on dość obszerną połąć śniegu z niewielkim zagłębieniem i nieoczekiwaną na tej wysokości szczeliną. Obok wznosi się usypany wiatrem parumetrowy kopiec śnieżny. To jest właśnie nasz szczyt! Kangczendzonga Środkowa.

Sciskamy się zapominając o tym, że na twarzach mamy maski. Udało się! Mielliśmy szczęście! Zdobyliśmy dla wyprawy drugi szczyt. Hiszpanie nie mogli tu dojść, bo od kuluaru szliśmy tu przeszło trzy godziny, a oni mówili tylko o godzinie. Drugi szczyt i też dziewiczy!

W euforii zrzućam z ramion plecak, zapominając, że tkwiącą w nim butlę łączę z maską cienką rurką. Rezultat jest taki, że rurka wyrwa się z maski w miejscu, gdzie zawulkanizowano ją. W tej chwili nie ma to jednak żadnego znaczenia. Robimy zdjęcia.

Wyjmuję radiotelefon i wręczam go Zydze. To dzięki jego zasłudze potrafiliśmy się zmobilizować i wyjść na tyle wcześnie rano, aby dotrzeć na szczyt. Radość i wzruszenie w głosach kolegów z bazy. Piotr ostrzega:

— Tylko uważajcie przy zejściu. W dolinie tutaj jest burza jakiej nie było!

Początkowo schodzę bez tlenu, myśląc nad tym jak połączyć wyrwaną rurkę z maską. Znajduję kawałek sznurowadła, którym udaje mi się przytrzymać wężyk. Przy schodzeniu źle umocowana maska odchyła się od twarzy, przesłaniając mi pole widzenia akurat w okolicach nóg. Ponadto okulary zachodzą mgłą, chwilami naprawdę nic nie widzę i ciągle muszę przystawać, żeby je przetrzeć. Zyga trochę mnie popędza, lecz w końcu daje za wygraną i rusza do przodu. Zdaję sobie sprawę, że idę powoli, nie mogę zdobyć się nawet na to, żeby sprawdzić, jakie mam w butli ciśnienie, a może tlen już się skończył?

Naraz czuję, że coś się za mną dzieje. Zsuwam się! Nic jednak nie widzę. Nie wiem nawet czy zsuwam się nogami, czy głową w dół. Nagle myśl, żeby użyć czekana do wyhamowania. Niżej już próg skalny, a dalej nie ma już nic... Ten śnieg... Nic nie widzę. Ale co to? Chyba stoję?... Próbuję otrząść się ze śniegu. Nareszcie coś widzę. Znacznie niżej widać sylwetki moich kolegów. Niczego nie zauważyli. Chyba już do nich nie dojdę... Zdejmuję maskę, bo i tak z rurką sobie nie poradzę... Schodzę jeszcze wolniej niż przed upadkiem, uważając na każdy krok.

Okazuje się, że Waldek ma kłopot z paskiem do raka. Kiedy do niego podchodzę unosi głowę. Chyba zrozumiał sytuację, bo widzę, że odłącza swój przewód od maski i podaje mi jego końcówkę. Nie próbuję go o nic pytać. Od rana nie może wydobyć z siebie głosu. Zaciągam się tlenem raz po raz i potem oddaję mu rurkę i zaczynamy schodzić razem. Waldek schodzi przede mną, ale od czasu do czasu obroca się, kontrolując czy nadążam. Idę z ogromnym wysiłkiem, nogi są jak z drewna. Dziwi mnie to, że w ogóle idę. Można by myśleć, że bez tlenu na tej wysokości człowiek pada na śnieg jak ryba wyjęta z wody, dyszy i nie może nawet się poruszyć lub że głowa mu pęka z bólu, wpada w śpiączkę, zbiera mu się na wymioty... Takie są objawy choroby wysokościowej powodowanej niedotlenieniem. A ja idę — tylko, że tak strasznie wolno i z takim trudem mimo że droga prowadzi już w dół, nie do góry. W głowie mam wielką pustkę, staram się myśleć tylko o następnym kroku. Czasami sprawdzam wzrokiem jak daleko od nas jest Zyga. Kilka razy Waldek zatrzymuje się i daje mi znów oddychać tlenem ze swojej butli. Do namiotu dochodzimy po szóstej. Zyga jest tu już od godziny. Trafnie oceniając sytuację zabrał się zaraz do przygotowania jakiegoś posiłku. Do obozu III na pewno dzisiaj nie dojdziemy, za żadne skarby świata na to się nie zdobędę. Czeka nas noc bez tlenu w niewygodnej pozycji, która nie umożliwi snu, nawet po tak ogromnym wysił-

ku. O trzeciej nad ranem decydujemy się schodzić. Do obozu III docieramy przed ósmą. Nikt z tych, którzy tam byli, tego się nie spodziewał. Szykują się do jeszcze jednej próby na Kangczendzongę Środkową. Po krótkim postoju kontynuujemy zejście. Ciągłe zjazdy na poręczówkach wyczerpują resztki sił. Rozsądnie byłoby zatrzymać się w obozie I lub II i odpocząć do jutra, ale chęć znalezienia się w bazie jest silniejsza nad wszystko. Jeszcze jeden dzień tej poniewierki, tego topiania się w śniegu, czepiania lin, uważania na każdy krok... Nie! Choćbym miał się czołgać! Jakże mam dość tej ohydnej góry, tych śniegów i lodów! Stanąć wreszcie na ciepłej murawie, zanurzyć twarz w jej puszystą zielen... Na kolanach będę dziękować Bogu, wszystkim bogom świata, jeśli szczęśliwie tylko zejść, stanę na ziemi, na normalnej ziemi, na której rośnie choćby najlżejsza roślina. Wiedzieć, że nic już ci nie grozi, nic ci nie spadnie na głowę, co najwyżej krople deszczu, nie się pod tobą nie rozstąpi... Iść przed siebie nie patrząc pod stopy! Uważaj! Zyg! Tam chyba jest szczelina! Asekuruję. Możesz iść!

Zawsze tak jest... Zejście w doliny bez oglądania się za siebie. Postanowienie — już nigdy więcej...

A potem w Warszawie ktoś cię spotyka, zaczynacie rozmowę. Nagle pada pytanie:

— Co myślisz o wyprawie na...

I wtedy nie wiadomo dlaczego przypominają mi się te słowa: „Góry za nami i góry przed nami”.



Eugeniusz Chrobak na szczycie Kangczendzongi Południowej

Fot. Wojciech Wróś

Zdjęcie grupowe członków wyprawy Polskiego Klubu Górskiego

Fot. Szymon Wdowlak





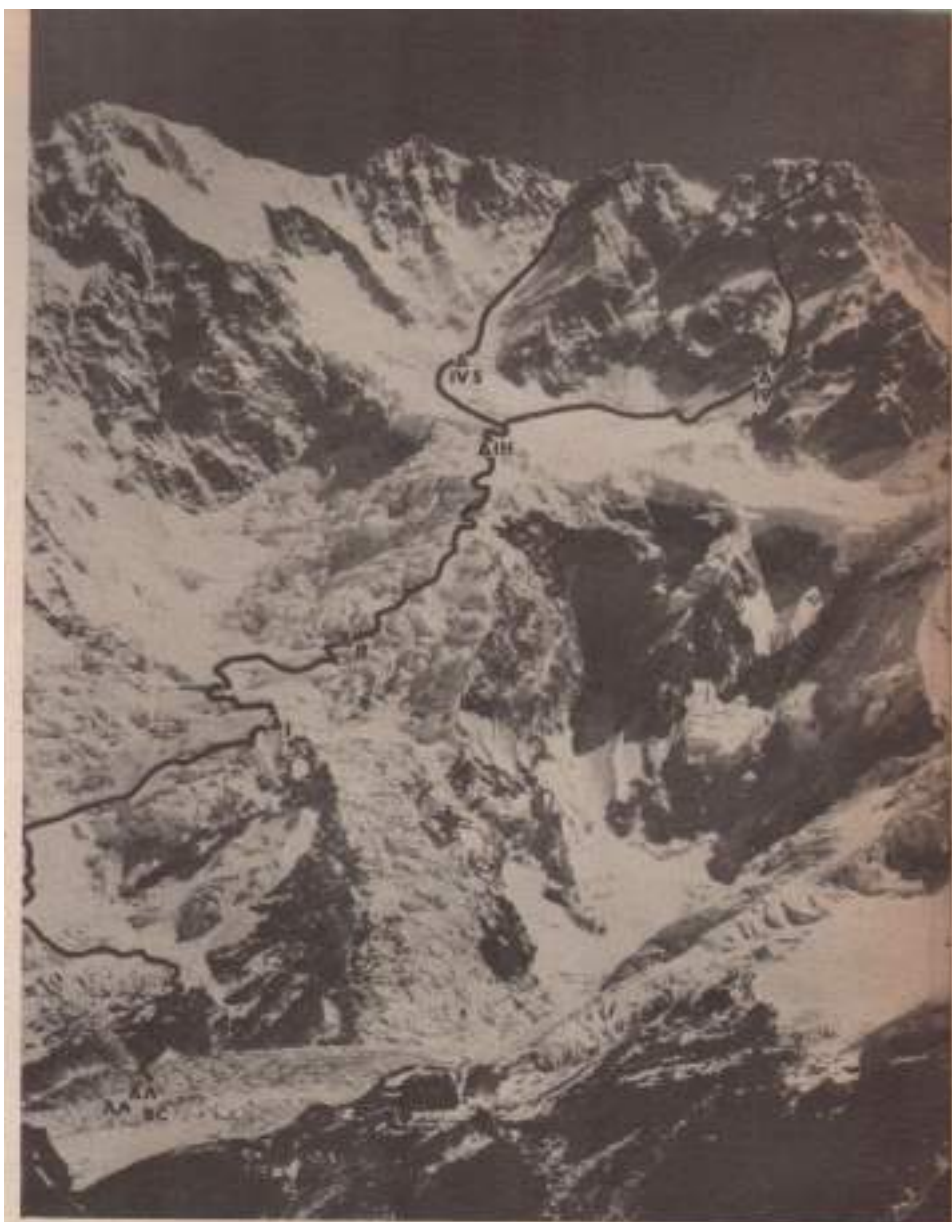
Fot. Kazimierz W. Olech

Zygmunt Andrzej Heinrich na Kangczendzondze Środkowej



Fot. Zygmunt A. Heinrich

Wojciech Brański i Kazimierz Waldemar Olech na szczycie Kangczendzongi Środkowej



Fot. z Archiwum Piotra Miłockiego

Od podnóża lodowcowego do wierzchołka masywu — od lewej: Yalung Kong (8433 m), Kangczendzonga Główna (8598 m), Kangczendzonga Środkowa (8496 m), Kangczendzonga Południowa (8496 m). Oznaczono: drogi wejścia linią ciągłą, BC — baza główna; I, II, III — obozy; IV — obóz szturmowy na Kangczendzongę Południową; IVs — obóz szturmowy na Kangczendzongę Środkową

MIĘDZY NAMI WEGANTAMI

Podróżując po północnej Polsce na przełomie maja i czerwca, odwiedziliśmy w Gdańsku Michała Kochańczyka (WEGA t. VI, str. 407). Jego mieszkanie to prawdziwy skarbiec pamiątek z niezliczonych wypraw oraz górskich i morskich przygód. Serdecznie przyjęci, rozsiedliśmy się wśród tych skarbów, a pogawędka o dawnych latach nabrała szczególnego wyrazu, gdy się okazało, że stół, przy którym siedzieliśmy, zajmujący centralną część Michałowego skarbcza, to jest właśnie „ten stół”, jedyny i kultowy, opisany przez Andrzeja Wilczkowskiego (WEGA t. VI, str. 815) w niezapomnianej książce *Miejsce przy stole*:

Jest w sali jadalnej w morskoocznym schronisku jeden stolik ustawiony pomiędzy dwoma oknami – w samym kącie sali. Pierwszy taternik, który rano wychodzi na śniadanie, wciska się właśnie w ten kąt. Teraz, kiedy nie ma pogody, tym pierwszym bywam zwykle ja, jeśli akurat jestem w Morskim Oku. Nie potrzeba mi już tyle snu, nie mam czego odsypiać. Siadam i patrzę.

Przez jedno z okien widzę opustoszały dziś i zamknięty na glucho „kurnik”... którego to, być może, za kilka miesięcy już nie będzie. Nie ukażą się w nagle otwartych drzwiach kurniczego pięterka dobrze znane mi postacie. Nie ma do kogo zapukać w szybę i okrągłym ruchem ręki przywołać... Wyżej – pod kurnikiem – ciągnie się stok Żabiego Niżniego – cały oblepiony wspomnieniami. Przez drugie okno i przeszklenia werandy – zależnie od tego, jak się wychylić – widać ścianę Miękuszwowieckiego Szczytu i wschodnią Mnicha. Ileż przeżyć, nadziei, strachu, porażek i zwycięstw.

Jeśli się przyjdzie później, miejsca przy tym stoliku już nie będzie. W dzień pogodny obsiadą go wycieczkowi-cze, w niepogodę zawsze zobaczysz tam znajome twarze, a czasem takie, które przypominają swoim wyrazem, niejako piętnem uprawianego sportu, kogoś, kogo się znało niegdyś.

Wieczorami, kiedy ostatni „pasanci” opuszczą Morskie Oko, przy stoliku znowu zbiera się gromada. Toczą się dyskusje, snują opowieści. Piętrzą się stopy pudel z jedzeniem, rosną baterie kubków po wrzątku wypełnionych rozprażonymi listkami herbacianymi.



Znajdą się i kufle po piwku. Wokół, w narzuconych kurtkach puchowych tkwią postacie na ogół prawie nieruchomo. Nie spostrzeżesz zbędnych gestów, niepotrzebnych ruchów. Czasem wybuchnie śmiech, czasem zapanuje chwila milczenia.

Koledzy, którzy przejechaliście do Morskiego Oka jak do domu, wracając z Kordylierów, lub krótko przed wyruszeniem w Himalaje. Jeśli zobaczycie starszego pana, chciwie zerkającego w stronę tego stołu – zróbcie mu miejsce. To może być któryś z chłopców z tamtych lat. Przyjdzie ćwierćwiecze, a i wam zdarzy się spoglądać w tamtą stronę, myśląc z melancholią, ale i z radością, że wasze miejsce ktoś zajął.

Bo tak być powinno.

A więc gawędziliśmy sobie, siedząc przy tym oryginalnym morskoocznym stole, na równie historycznych krzesłach i wspominając tych, którzy niegdyś z nami, a może także wcześniej, zajmowali przy nim miejsca. Cały komplet Misio Kochańczyk dostał za jakieś zasługi od pani Dziuni Łapińskiej i dlatego kultowy stół ze schroniska nad Morskim Okiem znajduje się teraz nad morzem.

Wracając do spraw aktualnych, Michał właśnie napisał książkę o dwóch swoich wyprawach himalajskich (na Nanga Parbat i na Cho Oyu), która ukaże się w wydawnictwie „Bernardinum”. Na ukończeniu ma następną książkę i zabrał się już do opracowywania trzeciej.

Jan i Małgorzata Kielkowscy





GÓRY I KULTURA

Najwcześniejsze przewodniki wspinaczkowe po skałach Jury Krakowsko-Częstochowskiej

Pierwszy przewodnik wspinaczkowy po skałach Jury Krakowsko-Częstochowskiej został wydany w 1952 roku w wydawnictwie „Sport i Turystyka” (WEGA t. I, str. 432). Nosił tytuł *Skalki Podkrakowskie*, a jego autorami byli krakowscy wspinacze pokolenia Pokutników – Adam Dobrowolski (WEGA t. VI, str. 201) i Kazimierz Paszucha (WEGA t. VI, str. 581). Wspinacze skałkowi starszego pokolenia doskonale pamiętają ten przewodnik. Wydany w kieszonkowym formacie (17 cm x 12,5 cm), na 158 stronach zawiera opisane i zilustrowane (dobrymi toposami) najefektowniejsze skały dolin Bolechowickiej (WEGA t. III, str. 143), Kobyłańskiej (WEGA t. III, str. 422), Będkowskiej (WEGA t. III, str. 122) i Mnikowskiej (WEGA t. III, str. 511). Podano autorów pierwszego przejścia każdej z opisanych w nim dróg wspinaczkowych. Był to naprawdę świetny przewodnik, który stał się wzorcem dla wielu następnych opracowań tego rodzaju.

Dla mnie, osoby orientującej się nieco w sprawach skał Jury i ich historii, wielkim zaskoczeniem był fakt, że ten przewodnik okazał się jednak dopiero drugim(!) z „wydanych” przewodników skałkowych. Pierwszym był *Przewodnik po Dolinie Bolechowickiej*, opublikowany w 1952 roku w Krakowie (w wydawnictwie Kajot). Jego autor



Najwcześniejsze przewodniki wspinaczkowe po skałach Jury Krakowsko-Częstochowskiej

podpisał się jedynie inicjałami K.J. kryje się za nimi znany wszystkim wspinaczkowym seniorom Karol Jakubowski (WEGA t. VI, str. 362). Przewodnik ten został napisany w 2 egzemplarzach na maszynie do pisania, na 17 (+ strona tytułowa i strona redakcyjna) stronach przebitkowego papieru o wymiarach 15 cm x 9,5 cm. Zastosowana technika drukarska uniemożliwiła wprowadzenie do tekstu ilustracji. Posiadaczem jednego egzemplarza tego dzieła jest Jan Bagsik (WEGA t. VI, str. 47) i on też zrobił z niego skany, z których złożyliśmy elektroniczny egzemplarz przewodnika, stanowiący załącznik do niniejszego numeru biuletynu.

Następny, chronologicznie trzeci, przewodnik skałkowy został wydany dopiero 25 lat później, ale to już zupełnie inna historia, którą przypomnimy w jednym z następnych numerów.

Jan Kielkowski



Wielkie dzieło o Andach Evelia Echevarrúi

Niedawno wspominaliśmy o tym, że dr Evelio A. Echevarría (WEGA t. VI, str. 215), mieszkający w Stanach Zjednoczonych wybitny eksplorator gór Ameryki Południowej, przygotowuje do druku swoje dzieło – szczegółową historię andynizmu. Czekaliśmy na nie niecierpliwie, aż wreszcie w połowie maja wielka księga, zatytułowana *The Andes. The Complete History of Mountaineering in High South America*, trafiła na nasze biurko. Oto na razie ogólne przedstawienie tego największego na świecie opracowania, poświęconego historii andynizmu, obejmującego okres od epoki kamienia, poprzez czasy myśliwych, Indian i górników do eksploratorów, uczonych, odkrywców i – oczywiście – współczesnego alpinizmu.

Tom o wymiarach 28 cm x 21,6 cm liczy 827 stron, zawiera 290 ilustracji, 60 map i 3000 odnotowanych pierwszych wejść. Został wydany w wydawnictwie Joseph Reidhead & Company Publishers w USA, w języku angielskim. Podzielony jest na kilka części, jak m.in.: Wprowadzenie, Krajobraz Andów, Mapy. Pierwszy rozdział części wstępnej zawiera między innymi opisy pasm andyjskich w kolejności z północy na południe (od Andów Wenezuelskich po Andy Argentyńskie), a dalej historię ich odkrycia, udostępnienia i eksploracji. W rozdziałach IV do XVI opisany jest klasyczny andynizm eksploracyjny do lat pięćdziesiątych XX wieku.

Ważnymi źródłami informacji były czasopisma alpinistyczne oraz książki wyprawowe. Autor korzystał także z zapisów archeologicznych, tekstów historycznych, książek podróżniczych i turystycznych, prac naukowych, doświadczeń własnej eksploracji, a także szerokiej korespondencji osobistej. W licznej grupie alpinistów, badaczy i publicystów z wielu krajów, którzy szerzyli informacje o Andach, autor wymienia m.in.: Józefa Nykę, Danutę Osiecką, Macieja Kuczyńskiego, Zdzisława Ryna, Jana i Małgorzatę Kielkowskich.

W opracowaniu znajdziemy także ślady polskiej eksploracji: szczegółowo i z uznaniem opisane są polskie wyprawy w 1934 roku na Mercedario i Aconcaguę, którą argentyński kronikarz tego ostatniego szczytu, Orlando Punzi, uznał za modelową pod względem organizacyjnym, oraz czteroosobowa ekspedycja w 1937 roku, która dokonała m.in. pierwszego wejścia na Nevado Ojos del Salado. Argentyńska Komisja Graniczna potwierdziła: *An expedition of the Polish Alpine Club discovered eleven new mountains over 6000 meters in the Cordillera de los Andes*. Polscy alpinści prowadzili w Andach również badania naukowe. Witold H. Paryski – jak pisze dr Echevarría – był jednym z pierwszych badaczy. Stworzył pierwszy spis szczytów Ameryki Północnej, Środkowej i Południowej, zdobytych przez Indian. Wysoko położone stanowiska archeologiczne pierwszy badał Chilijczyk Francisco J. de San Román (1885). W. H. Paryski pierwszy skatalogował wszystkie takie znane stanowiska (1956).

Na stronie 279 dzieła czytamy, że „...Stefan Osiecki, weteran andyjskich wypraw 1934 i 1937, mieszkał w Santiago i był członkiem sekcji Santiago nowo powstałego klubu alpinistycznego „Club Andino de Chile”.

Rozdział XIX poświęcony jest kobietom w Andach, od neolitu do damskiej eksploracji tych gór.

Dzieło wyposażone jest w bibliografię, przypisy, indeks oraz spis pierwszych wejść (216 stron – *Survey of Andean First Ascents*), które niestety nie zostały uwzględnione w indeksie.

Małgorzata i Jan Kielkowsky



THE ANDES

EVELIO A. ECHEVARRIA

THE COMPLETE HISTORY
OF MOUNTAINEERING IN
HIGH SOUTH AMERICA



Z NASZYCH KOLEKCJI

Königssee (t. III, str. 424) w Alpach Bawarskich

Königssee, czyli Jezioro Królewskie, podobnie jak Morskie Oko w Tatrach jest najpopularniejszym oraz najczęściej odwiedzanym przez turystów miejscem w całych Alpach Niemieckich. Nic więc dziwnego, że jest też najpopularniejszym (przed Watzmannem i Zugspitze) motywem niemieckich widokówek alpejskich. W naszych zbiorach mamy kilkaset widokówek, przedstawiających z różnych stron to jezioro. Do pokazania wybraliśmy dwanaście, wszystkie pochodzą z przełomu XIX i XX wieku.

Jan Kielkowski



Der Königssee. (C. le Feulure).











